

Dni wdzięczności i zadumy - wspomnienia z uroczystości koronacyjnych



Fot. Władysław Rut

**Budowa kościoła w Sowlinach
- wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca cz. 2**

Malarska pasja Marii Kazimierczak

Pamięci Józefa Staniszewskiego

Majówka „Złotej Linii”

Ze wspomnień Jana Sitowskiego

**Pierwszy amatorski teatr w Limanowej
- ze wspomnień Józefa Marsa**

**Komisja likwidacyjna AK i BCH
Obwodu Limanowa**

**Ks. Stanisław Musiał
- człowiek dialogu**

Historia bednarnii limanowskiej



11 września 1966 rok



Dni wdzięczności i zadumy

– wspomnienia z uroczystości koronacyjnych

Wrzesień 1966 roku był miesiącem wielkiej radości dla mieszkańców naszego miasta i zapewne także Ziemi Limanowskiej. Po wielomiesięcznych przygotowaniach, zarówno duchowych jak i materialnych nastął długo oczekiwany dzień 11 września. To doniosła i niezapomniana data. Tego dnia ks. arcybiskup Karol Wojtyła, ówczesny metropolita krakowski ukoronował Cudowną Figurę Matki Boskiej Bolesnej, która „z łask licznych jest słynącą na tym limanowskim tronie”.

Od tego historycznego wydarzenia do dziś zaszły w naszej polskiej rzeczywistości epokowe zmiany.

We wrześniu 2016 r. ponownie myślimi powrócimy do chwil sprzed pięćdziesięciu laty i na nowo z optymizmem witac będziemy budzący się dzień, tak jak wielu z nas czyniło to pół wieku temu. Zapewne wiele serc zabije radośniej, świat nabierze kolorów i poczujemy większą ochotę do życia.

Pragniemy więc za pośrednictwem naszego dwumiesięcznika przekazać Czytelnikom, szczególnie młodszemu pokoleniu, przeżycia bezpośrednich świadków tamtych niezapomnianych dni.

Antoni Mamak

Czas mija, wspomnienia pozostają

Wspominając koronację Łaskami Słynącej Figury Matki Bolesnej w Limanowej należy pamiętać, że nie była to data przypadkowa. Zbiegła się bowiem ona z wielkim jubileuszem 1000-lecia chrztu Polski, jaki uroczystie obchodził nasz naród w 1966 r. Dwa te wielkie wydarzenia, jedno ogólnonarodowe i to które miało miejsce w naszej małej Ojczyźnie Limanowej, mają ze sobą ścisły związek. Od tamtych dni minęło pół wieku, tak niewiele w historii narodu i parafii, a tak dużo w życiu każdego człowieka. Ileż w tym czasie dokonało się zmian w Polsce, w naszym mieście, w rodzinach i w nas samych.

Pamiętam, z jaką nadzieją i radością obserwowaliśmy te wielkie przygotowania, jakie miały miejsce w naszej parafii. Z jaką nadzieją wówczas czekaliśmy na zapowiadany przyjazd do naszego kraju Ojca Świętego Pawła VI. Myśleliśmy, a może przyjedzie i do nas, do Limanowej i włoży złociste korony na głowę Bolesnej Matki. Niestety tak się nie stało. Uroczystości, które miały nastąpić 11 września 1966 r., poprzedziły żmudne przygotowania organizacyjne i duchowe. Lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia były trudne politycznie. Władze niechętnym okiem patrzyły na wszelkiego rodzaju poczynania ze strony kościoła. Ile przeszkód natury prawnej, organizacyjnej, finansowej musiał pokonać proboszcz limanowski ks. prałat Ludwik Kowalski, wiem coś na ten temat, często jechaliśmy autobusem do Krakowa i nieco mi się zwierzał. Ja zajęty pracą zawodową w niewielkim stopniu brałem udział w tych przygotowaniach. Natomiast z wielką uwagą śledziłem wszelkiego rodzaju zmiany, jakie zachodziły w naszym kościele.

Z mieszanymi uczuciami obserwowałem przebudowę wielkiego ołtarza. Znikły wspaniałe zdobienia na pozłacanych kolumnach, a także skromny domek naszej limanowskiej Pani zamykany mechanicznie. Ołtarz został przesunięty, wydawało się, iż jest bliżej wiernych, był wielki i wspaniały, ale nie dla mnie, który od dziecka wpatrywałem się w ołtarz przed jego przebudową. Jest rzeczą zrozumiałą, że każdą nowość odbieramy z pewną dozą nieufności i tak było i w tym



Główny ołtarz w limanowskim kościele przed koronacją Piety - 1964 rok.

przypadku. Po II Soborze Watykańskim zalecono odprawianie Mszy św. w języku ojczystym. Nabożeństwa stały się bardziej zrozumiałe. Kapłan mógł być odwrócony twarzą do wiernych. Zostało przez to odsłonięte wielkie, niezrozumiałe dla wiernych sacrum.

Dzień 11 września 1966 roku był pogodny. Już w godzinach nocnych poprzedniego dnia ze wszystkich stron zaczęli przybywać do naszego miasta pielgrzymi. Szli w licznych grupach, ►

► niosąc ze sobą symbole naszej wiary. Podążali pojedynczo i całymi rodzinami, pokonując szczyty Gorców, Beskidu, Jaworza i Łysej Góry. Przybywali furmankami, pociągiem, autobusami i czym się tylko dało. Spieszyli się, aby zająć dogodne miejsce. Całe nasze miasto rozbrzmiewało religijnymi pieśniami. Otoczenie kościoła, plac pod murem, pobliskie uliczki, tereny po dwóch stronach Potoku Starowiejskiego i „Siwy Brzeg” były wypełnione tysiącami wiernych. Ja ze swoją rodziną zajęliśmy małe wzniesienie „Siwego Brzegu”. Z tego miejsca mogliśmy objąć spojrzeniem ołtarz polowy, licznie zgromadzonych biskupów, kapłanów, delegacje i służbę liturgiczną. To był jeden wielki barwny rozmodlony lud, obraz ten wywoływał wspaniałe niezapomniane wrażenie. Niestety z tej odległości widzieliśmy mało rozpoznawalne postacie. Nagłośnienie było dobre i mogliśmy z całą uwagą uczestniczyć w tej uroczystości. Złotą koronę na skronie Matki Bolesnej włożył arcybiskup Karol Wojtyła, krakowski metropolita, któremu towarzyszyli biskupi tarnowscy: Jerzy Ablewicz i Tomasz Pękała. Wyobraźnią byliśmy przy tym.

Po latach w miesiącu czerwcu 1983 roku z podobnej odległości na krakowskich Błoniach widziałem tę samą postać, jak po raz drugi wkłada złote korony na skronie łaskami słynącej limanowskiej Pani i Jej Syna, ale już jako papież Jan Paweł II.

Czas płynie, pozostają wspomnienia, a ja mam nadzieję, że dane mi będzie już po raz trzeci przeżywać uroczystości związane z koronacją limanowskiej Pani, tym razem odnoszące się do złotego jubileuszu tego wydarzenia.

Leszek Pilawski

Po 50 latach

Było to najbardziej doniosłe wydarzenie w parafii limanowskiej w całej historii. Parafianie na apel ówczesnego proboszcza ks. dr. Ludwika Kowalskiego ochoczo ruszyli z pomocą w przygotowaniach. Było to jak „pospolite ruszenie”. We wrześniu miałem jeszcze wakacje pomiędzy IV, a V rokiem na wydziale architektury Politechniki Gdańskiej.

Jak wielu chętnych parafian wraz z bratem Andrzejem zgłosiliśmy się do pomocy przy budowie ołtarza polowego przed prezbiterium kościoła od strony zachodniej.

Autorem projektu oraz głównym budowniczym bardzo udanej plastycznie kompozycji ołtarza był brat Piotr Szafranek ze Zgromadzenia Chrystusowców (Puszczykowo koło Poznania).

Trzy białe strzeliste, trójkątne elementy ołtarza, z których środkowy był największy, pięknie komponowały się na tle szarego kamienia bryły kościoła. Ten najwyższy trójkąt zwieńczono złotą koroną i na nim umieszczono ruchomą platformę, na której ustawiono Cudowną Figurę Matki Bożej Bolesnej. Podczas całej uroczystości figura była podniesiona, a na czas koronacji dokonanej przez ówczesnego metropolitę krakowskiego ks. arcybiskupa Karola Wojtyłę, opuszczono ją na tej platformie w dół.

Wszystkie te elementy ołtarza musiały być wykonane z przestrzennych konstrukcji i obciążone białym płótnem. Również złota korona w odpowiedniej skali i herby, które dopełniały całą kompozycję. Wszystko ustawione było na specjalnym podejściu wraz z ołtarzem do odprawienia Mszy św. Konstrukcję podestu wykonali cieśle. Pamiętam, że było



Ołtarz polowy zbudowany na tyłach kościoła, od strony prezbiterium.

tam bardzo dużo chętnych ludzi do pomocy. My z bratem Andrzejem pomagaliśmy przy pracach związanych z opisanymi wyżej elementami dekoracyjnymi. Wraz z nami chodzili również dwaj bracia z sąsiedztwa, którzy mieszkali obok ówczesnego tartaku, byli to Andrzej i Jan Jońcowie.

Gospodynią w kuchni na plebani była wówczas siostra ks. proboszcza Ludwika Kowalskiego. Przygotowań kulinarnych przed koronacją dla wielu znamienitych gości był ogrom. Wśród wielu pań, które pomagały w kuchni była również nasza mama Irena Pilawska oraz nasza sąsiadka p. Jadwiga Kozdruń.

Podczas prac przy budowie ołtarza polowego panowała atmosfera ogólnej współpracy i wzajemnej życzliwości. Parafianie gremialnie przychodzili, aby obserwować postęp prac przy budowie ołtarza. Zawsze panował nastrój radości i wsparcia.

Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden mały epizod: Na ogół ogrom pracy przy budowie ołtarza nie pozwalał na odwracanie uwagi od wykonywanych robót. Pewnego razu kątem oka dostrzegłem dwie znajome panie z Sowlin: Bogusię Mitkównę i jej mamę. Nigdy nie zapomnę ich uśmiechu na radosnych twarzach pełnych aprobaty dla naszego trudu na chwałę Matki Boskiej Bolesnej. Taki był wówczas nastrój wśród parafian limanowskich, ludzie nie kryli swoich przeżyć wewnętrznych. Odkrywali się ze swoimi emocjami, uczuciami i doznaniem, spoglądając w zamyśleniu i z zachwytem na wszystko to, co miało miejsce zarówno w dniach przygotowań do głównej uroczystości, a przede wszystkim przebiegu koronacyjnej Mszy św.

W dniu koronacji Cudowna Figura Matki Boskiej Bolesnej była przenoszona na specjalnej ozdobnej lektyce przez różne delegacje, które były wyznaczone przez księży.



Stutysięczny tłum wiernych od strony ołtarza polowego w kierunku „Siwego Brzegu”.

Nasz skromny wkład przy budowie ołtarza polowego został dzięki wsparciu ówczesnego wikarego i katechety ks. Stanisława Mlyczyńskiego zwieńczony zaszczytem: mogliśmy wraz z bratem Andrzejem również kilkanaście metrów przenieść lektykę z limanowską Pietą w drodze z kościoła na ołtarz polowy.

Maria i Stanisław Ptaszek

To trzeba było przeżyć

Wizerunek Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej poznałem jeszcze przed II wojną światową jako mały chłopiec. Czasami Tato lub Mama zabierali mnie ze sobą na jarmark do Limanowej. Trzeba bowiem pamiętać, że jedynym sposobem na zdobycie grosza dla mieszkańca wsi była sprzedaż produktu z gospodarstwa – jajko, masło itp.

Ilekróć byliśmy w Limanowej, zawsze wstępowaliśmy do wielkiego murowanego kościoła na krótką modlitwę przed figurą Matki Boskiej Bolesnej. Zapamiętałem też starszego księdza, który siedział przy stoliku, blisko drzwi wejściowych, na którym stała skarbonka. Rodzice z sąsiadami rok rocznie chodzili na odpusty Matki Boskiej Bolesnej, jesienią Różańcowej, na które nas zabierali. W czasie wojny kilku z nas z Pasierbca uczęszczało do szkoły w Sowlinach, aby ukończyć siódmą klasę. Często szliśmy do Limanowej i prawie zawsze wstępowaliśmy do kościoła, aby pokłonić się limanowskiej Pani.

Kiedy w 1965 r. rozpoczęły się przygotowania do koronacji, sąsiednie parafie, w tym i nowo powstała parafia w Pasierbcu, żyły tym zagadnieniem. Proboszczem w tym czasie w Pasierbcu był ks. Michał Korzeń, który dokładnie informował parafian i zachęcał do wzięcia udziału w tej wiekopomnej uroczystości. Na nocne czuwanie z 10 na 11 września wybrało się wiele kobiet, w tym moja żona Maria Zofia Woźniak, Maria Knapik i Adela Kasińska. Po powrocie z wielkim przejęciem

opowiadały o ogromnej rzeszy wiernych i podniosłym nastroju. W pogodną niedzielę 11 września, po rannej modlitwie, od kaplicy w Pasierbcu ruszyła pielgrzymka, z pieśnią na ustach do Limanowej. Po krótkiej modlitwie w kościele skierowano nas na plac pod „Siwym Brzegiem”. Podziwialiśmy ogromny ołtarz koronacyjny, zbudowany na tle prezbiterium kościoła. Mszę św. odprawiał ks. abp Karol Wojtyła, kazanie głosił ks. bp Jerzy Ablewicz. Jego poznaliśmy na koronacji w Nowym Sączu – Zawadzie. Po kazaniu ks. abp Karol Wojtyła dokonał koronacji Piety limanowskiej.

Ile było pocztów sztandarowych, delegacji w strojach ludowych z całej południowej Polski. Takiej ilości wiernych, takiego nastroju modlitewnego nikt z nas wtedy jeszcze nie widział. Tego opisać nie potrafię. To trzeba przeżyć.

Zbigniew Grochot

Koronacja limanowskiej Piety zatrzymana w kadrze

Moja przygoda z fotografią barwną rozpoczęła się praktycznie od koronacji Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Niedługo przed koronacją mieszkająca w Sowlinach p. Sabina Kurczab wróciła z odwiedzin rodziny w Związku Radzieckim. Przywiozła z tej wyprawy dwa aparaty fotograficzne ZORKI 6, które postanowiła sprzedać. Jeden z tych aparatów kupił ks. prałat Ludwik Kowalski – ówczesny proboszcz w Limanowej, a drugi kupiłem ja. Tym sposobem ks. prałat był poinformowany, że mam aparat takiej samej marki, jaki posiadał On.

Kiedy nastąpiły już ostatnie dni przed koronacją, ks. prałat Kowalski zaproponował mi, abym spróbował zrobić z koronacji zdjęcia kolorowe. Przyznam, że z fotografią czarno – białą nie byłem jeszcze dobrze obeznany, gdyż był to mój pierwszy aparat fotograficzny. Jak tu odważyć się na fotografię barwną. Ale ks. prałat zaoferował mi wypożyczenie swojego aparatu, aby w jednym założyć kliszę kolorową, a w drugim czarno

► – białą, coś na pewno się uda. Tak też się stało. Z filmem kolorowym pojechałem do Warszawy, ponieważ w tym czasie w Polsce istniały tylko dwa laboratoria fotografii barwnej: w Bydgoszczy i w Warszawie. Tam zostały wykonane pierwsze próbne zdjęcia. Radość ks. prałata była ogromna. Sam angażował się, aby jak najwięcej tych zdjęć dotarło do parafian. Zdjęcia zostały ponumerowane i wystawione w gablocie parafialnej, aby udostępnić parafianom możliwość zamawiania pamiątkowych zdjęć. Nie umiem dzisiaj określić ilości rozproszonych fotografii, ale było to na pewno kilka tysięcy.

Wzorem ks. prałata, księży proboszczowie z sąsiednich parafii, w swoich parafiach również sporządzili gazetki z możliwością zamawiania zdjęć. Bardzo duże ilości tych pamiątek zostały rozprowadzone.

W czasie koronacji zdjęcia kolorowe wykonywał również p. Władysław Rut z Poznania. Wspaniały fotograf profesjonalista. Wykonał także slajdy trójwymiarowe do oglądania specjalnym aparatem stereoskopowym. Oglądając tym aparatem obrazy, ma się wrażenie widzenia przestrzennego (*współcześnie można powiedzieć jest to takie 3D* – przyp. red.). Pojechaliśmy z ks. prałatem Kowalskim do Poznania. Odnaleźliśmy tego pana, gdzieś w dzielnicy Winiary i z ogromnym zachwytem oglądaliśmy to nowatorskie dzieło.

Pan prof. Józef Staniszewski wielki miłośnik fotografii czarno – białej, również wykonał wspaniałe, pamiątkowe kolorowe slajdy z koronacji limanowskiej Piety. Głównie uwiecznił przygotowania związane z koronacją, dekoracje znajdujące się na bryle kościoła, główny ołtarz koronacyjny znajdujący się po stronie zachodniej kościoła przy prezbiterium, otoczenie i zdarzenia towarzyszące temu wielkiemu wydarzeniu.

Dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, poczytuję sobie za zaszczyt, że mogłem być w gronie wspaniałego człowieka, niezwyklego kapłana, jakim był ks. Prałat Ludwik Kowalski.

Stanisław Ociepka

Zadziwiał niezwykle entuzjazm wiernych

Rok szkolny 1966/67 dla nas młodzieży limanowskiej zapowiadał się nadzwyczaj ciekawie. We wrześniu rozpoczynałem ostatni rok nauki w klasie XI Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej. Wspominając tamte czasy sprzed 50 lat, należy przypomnieć atmosferę lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, jaka panowała wśród ówczesnej młodzieży. W tych latach na nasze postawy nie miały wpływu tzw. środki masowego przekazu, bowiem były one dopiero w powijakach, a o Internecie się nie śniło. O systemie wartości decydowało przede wszystkim wychowanie w rodzinnym domu oraz w szkole. W latach tych w „walce o dusze młodzieży” stały naprzeciw siebie dwa podmioty mające podobny cel. Z jednej strony Kościół katolicki dążył do utrzymania swoich wpływów w środowisku młodzieży, z drugiej o przechwycenie sympatii młodzieży starały się władze oświatowe.

Podobnie było i w Limanowej, w tych niezapomnianych dniach września 1966 r. Nasz wspaniały katecheta Stanisław Młyczyński już dużo wcześniej przygotowywał nas do uczestnictwa w obchodach koronacyjnych w roku milenijnym chrztu Polski. Jego sposób bycia i autorytet (katecheza była dowolnym wyborem) prawdopodobnie sprawiły, iż zdecydowana

większość młodzieży uczestniczyła w uroczystościach koronacyjnych, pomimo zakazów ówczesnych władz oświatowych. W tym samym czasie dla młodzieży limanowskich szkół średnich zorganizowano alternatywne imprezy poza Limanową.

Byłem w centrum tej niezapomnianej uroczystości, bowiem z kuzynem Leszkiem Sułkowskim postanowiliśmy udokumentować przebieg tego święta na fotografii. Leszek był namiętnym pasjonatem fotografii. Zamiłowanie to przekazał mu prof. Józef Staniszewski. Jeszcze przed 1966 rokiem podejmowaliśmy razem współpracę. Leszek, jako student architektury Politechniki Gdańskiej, był członkiem klubu filmowego. Kiedy przyjeżdżał do Limanowej, realizował krótkometrażowe filmy własnej reżyserii przy udziale nas, młodszych kolegów i koleżanek z limanowskiego Liceum. Mając już pewne doświadczenie, bardzo starannie przygotowaliśmy się do pracy dokumentującej przebieg uroczystości koronacyjnych. Zorganizowaliśmy studio filmowe w rodzinnym domu naszych rodziców. Jeszcze w tym samym dniu postanowiliśmy rozprowadzać zdjęcia wśród pielgrzymów. Łatwo było podjąć decyzję, nieco trudniej się do jej realizacji przygotować, ale najtrudniej było zrealizować pomysł.

Chcąc wykonać ciekawe zdjęcia i na przyzwoitym poziomie, należało być blisko centrum wydarzeń, jakie wówczas miały miejsce. Niestety służby porządkowe (panowie w żółtych furazerkach) nie dopuszczali nas zbyt blisko do tych miejsc. Wyczynialiśmy najrozmaitsze sztuczki, aby znaleźć dogodne miejsce i w określonym momencie uroczystości wykonać ciekawe ujęcie. Nie zawsze udawało się przebić przez tłum ludzi uczestniczących w uroczystościach. Satysfakcją dla mnie był fakt, że mogłem uczestniczyć w całej uroczystości, śledząc jej każdy wątek bardzo dokładnie. Poziom wykonanych czarno-białych fotografii nie był nadzwyczajny, jeśli jeszcze dodam,



Tłum wiernych. Widok od strony „Siwego Brzegu” w kierunku ołtarza polowego.

że naszą pracę fotoreporterską rozpoczęliśmy bardzo wczesnym porankiem, a skończyliśmy późnym popołudniem to potworne zmęczenie spowodowało, iż w ostateczności zrezygnowaliśmy z wykonania zdjęć w tym samym dniu. Pamiętam jak z domu babci usytuowanego przy ulicy Krakowskiej (dziś ul. Jana Pawła II), widziałem jak od samego świtu niezliczone tłumy ludzi podążały w kierunku kościoła. Robiło to ogromne wrażenie i było zapowiedzią wielkich przeżyć, które spełniły się, gdy dotarliśmy ze sprzętem fotograficznym do Rynku.

Z tego to względu zapamiętałem wiele szczegółów z przebiegu tych uroczystości.

Kiedy pochłonął nas tłum ludzi oczekujących przed plebanią na głównego gościa uroczystości – koronatora Cudownej Figury limanowskiej Piety – słychać było głosy, że uczyni to Prymas Polski ks. kardynał Stefan Wyszyński, w niedługim czasie przyjechał metropolita krakowski ks. arcybiskup Karol Wojtyła.

Uroczystość rozpoczęła się od dźwięków dzwonów z wieży limanowskiego kościoła. Kiedy księża biskupi wyszli z plebanii, przedstawiciele Limanowszczyzny z Walentym Gawronem na czele wręczyli im dary Ziemi Limanowskiej: chleb z solą, kołacz, dzban miodu i oscypki. Następnie ruszyła procesja z plebanii do kościoła. Na czele szedł krzyż, dalej podążali wierni w strojach regionalnych, za nimi księża, przedstawiciele zakonów, przedstawiciele uczelni katolickich oraz biskupi z terenu całej Polski. Dalej maszerowali przedstawiciele młodzieży, niosąc na ozdobnej poduszce połączoną koronę Matki Bolesnej. Za tą trójką postępował koronator ks. abp Karol Wojtyła w towarzystwie biskupów tarnowskich: Jerzego Ablewicza – ordynariusza diecezji i ks. Karola Pękali – wikariusza generalnego. W otoczeniu szli także ks. infułat Jan Bochenek, ks. prałat Stanisław Sroka i ks. kanclerz Jan Rzepa.

Po krótkiej adoracji Najświętszego Sakramentu w świątyni, procesja skierowała się do ołtarza polowego w tej samej kolejności jak poprzednio, z tym że za młodzieżą, która niosła koronę na ozdobnej poduszce, wierni w strojach regionalnych na zdobniczej lektycie nieśli Cudowną Figurę. Była to długo oczekiwana przez wszystkich zgromadzonych w czasie tej uroczystości chwila, kiedy ujrzeli Figurę Matki Boskiej Bolesnej. Zdziwił niezwykle entuzjazm wiernych. Rozpoczęły się uroczystości koronacyjne. A ja z Leszkiem próbowałam znaleźć najbardziej dogodne miejsca, aby zatrzymać w kadrze jak najwięcej ciekawych obrazów, które dziś przeglądając po pięćdziesięciu latach na nowo można przeżywać, te niezapomniane chwile.

Krystyna Bogusz (Szewczyk)

Koronacja widziana oczami dziecka

Od tej doniosłej chwili minie w tym roku 50 lat. Miałam wówczas 13 wiosen i w czerwcu ukończyłam szóstą klasę w limanowskiej „Jedynce”. Od trzeciego roku życia wychowywałam się w Mordarce – u dziadków, najlepszych „pod słońcem” ludzi, bo rodzice najpierw studiowali, a potem zgodnie z zawodem otrzymali pracę w budownictwie i musieli przebywać tam, gdzie przenoszono ich firmę. Dlatego do akcji wkroczyli dziadkowie, orzekli, że dziecko nie może się płatać i zabrali mnie do siebie. Zapewnili mi ciepłe, słoneczne dzieciństwo, o którym do dzisiaj z nostalgią opowiadam wnukom.



Ołtarz z kopią Piety limanowskiej w Kaplicy Łaski w Mordarce.

O otoczonej czcią Piecie wiedziałam wiele, bo babcia umiała i lubiła opowiadać, szczególnie w zimowe długie wieczory, gdy miała więcej czasu. Poznałam związane z Matką Bożą legendy, a gdy już chodziłam do szkoły, wracając po lekcjach do domu zatrzymywałam się koło „dworskiej kaplicy” w Mordarce (zwanej obecnie Kaplicą Łaski), by zmówić „zdrowaśkę” i przez otwór w drzwiach popatrzeć na ołtarzyk. Na nim stała kopia figury Matki Bożej Bolesnej wykonana przez rzeźbiarza amatora niezbyt podobna do figury oryginalnej, ale ważne, że była, bo przypominała cudowną Pietę z limanowskiego kościoła.

Przed odejściem dotykałam pnia lipy, na której Matka Boska znalazła schronienie i bałam się, by jakaś burza jej nie zniszczyła. Do tej kaplicy chodziłam też z babcią na nabożeństwa majowe.

Cieszyliśmy się wszyscy, gdy rozeszła się wieść, że zaczęły się przygotowania do koronacji Matki Bożej. Dziadkowie od dawna modlili się, żeby mogli dożyć tej chwili, w której „Nasza Panienska” dostąpi tej godności. Przygotowania trwały wszędzie – w domach, kościele i salkach katechetycznych, w których odbywała się religia.

Pragnęłam bardzo, aby w czasie uroczystości koronacyjnych być bliżej Bolesnej Pani, ale nie zostałam wybrana do żadnej reprezentacji, bo byłam ogromnie nieśmiała. Bardzo to przeżywałam. Dlatego moja babcia chciała mi to jakoś zrekompensować i uczynić, bym uroczystość zapamiętała na całe życie. W przeddzień uroczystości ścięła w ogródku ►

wszystkie najpiękniejsze róże, zrobiła duży bukiet i związała go haftowaną wstążką ze swego panieńskiego gorsetu. Z drugiej wstążki zrobiła wymyślną kokardę do moich włosów. Potem usiadła i zaczęła coś pisać. Trwało to bardzo długo. Wreszcie kazała mi umyć ręce i przepisać. Było to podziękowanie Matce Bożej za wszystko czego moja rodzina doznała za pośrednictwem Jej wstawiennictwa.

Po kolacji wyruszyliśmy do kościoła na nocne czuwanie poprzedzające tę ważną uroczystość. Dziadkowie nieśli dwa składane krzesła, a ja kwiaty, do których przywiązana była koperta z podziękowaniem. Bukiet położyłam przed ołtarzem, do którego z trudem się dostałam (chyba dlatego, że byłam dzieckiem) i wróciłam do dziadków, aż pod sam chór, bo kościół wypełniali wierni.

Jeszcze nocą udaliśmy się na plac po drugiej stronie Potoku Starowiejskiego, gdzie dziadek miał już „zaklepane” miejsce pilnowane przez rosnącego młodziana, który chyba nie czynił tego bezinteresownie, ale to nie było ważne. Przyniesione krzesła tylko na początku służyły do siedzenia, a potem do stania na nich. Dzięki temu wszystko widzieliśmy, a szczególnie ja, bo jedno ciągle okupowałam.

Wszyscy się modlili i przeżywali uroczystość, a po koronacji, gdy podniesiona wysoko Matka Boża zdawała się patrzeć na każdego z nas, ludzie zaczęli płakać. Ja też płakałam ze wzruszenia. Modliłam się w intencji dziadków, rodziców, całej rodziny i własnej, dziękując Najświętszej Pani, że mogłam uczestniczyć w takim wielkim święcie.

Po tym wydarzeniu w czasie pobytu w mieście zawsze chociaż na chwilę wstępowałam do kościoła, aby się pokłonić Królowej Nieba i Ziemi.

Dwa lata później opuściłam Limanową, bo zaczynałam naukę w szkole średniej, a rodzice doczekali się stabilizacji. Odwiedzałam dziadków w każde wakacje, bo bardzo za nimi tęskniłam. Przed odjazdem zawsze wstępowałam do kościoła, by się pokłonić limanowskiej Pani.

Od wielu lat nie odwiedzam już Limanowej. Dziadkowie dawno nie żyją. Nie ma nawet śladu po ich domu. Nie mam też tam żadnej rodziny. Odeszli także do wieczności moi rodzice i mąż. Dzieci pozakładały rodziny, wnuki dorastają, a mnie nie służy zdrowie. Jeśli będzie mnie miał kto zawieźć, przyjadę do Limanowej na 50-lecie koronacji Matki Bożej Bolesnej.

Józef Szymon Wroński

Koronacja Matki Boskiej limanowskiej widziana z oddali

Matka to najpiękniejsze słowo świata. Gdy dodamy do niego Boska, to mamy jedyną i niepowtarzalną Matkę i to nie tylko na tym Bożym, ale i w tym drugim, wiecznym, transcendentnym świecie – Matkę Boską. Czy trzeba jeszcze coś więcej?

O potrzebie koronacji Matki Boskiej limanowskiej pisał już ks. płk Józef Joniec – kapelan spod Monte Cassino, w swojej monografii: *Historia Parafii Limanowskiej*, a podwaliny pod ten fakt położyli ks. prał. dr Ludwik Kowalski – proboszcz limanowski i ks. prał. (późniejszy bp) dr Piotr Bednarczyk – rodak limanowski, który tak wyjaśniał znaczenie słowa Pieta. „Pieta to nie tyle >>opłakiwanie<<, co >>oczekiwanie<< na zmartwychwstanie Chrystusa”. To kwintesencja

Teologii Odkupienia, to nowe Macierzyństwo Maryi, ukazujące – jak pisał ostatnio Biskup Tarnowski dr Andrzej Jeż – „tajemnicę zjednoczenia Matki Bolesnej z Jej ukrzyżowanym Synem”. Byłoby ogromnym nietaktem, nie wspomnieć w tym miejscu abpa dr. Jerzego Ablewicza – Ordynariusza Tarnowskiego, który wszczął starania u Stolicy Apostolskiej o koronację Piety limanowskiej, jak również zasłużonego dla Limanowej ks. prał. Kazimierza Łazarskiego, który budową kościoła wystawił wspaniały tron dla Pani limanowskiej. Tę listę dopełnia obecny proboszcz dr Wiesław Piotrowski, który dokonał tak odnowienia kościoła, jak i Piety i przygotował parafię limanowską do obchodów Złotego Jubileuszu Koronacji.

Koronacja Matki Boskiej limanowskiej w dniu 11 września 1966 roku rękami abpa Karola Wojtyły (obecnie św. Jana Pawła II), jako akt dopełniający Koronacji przez miłość ludu, który ukoronował Swoją Matkę wiarą i dobrymi uczynkami, a który przez stulecia i dziesięciolecia doznawał przez wstawiennictwo MB Bolesnej w Limanowej łaski uzdrowienia, pocieszenia, po prostu cudów, jest wystarczającym dowodem na to, że taka była wola Boża, by Matka Boża limanowska została ukoronowana w roku Millenijnym Chrztu Polski. Gdy uświadomimy sobie, że drzewo z którego rzeźbiarz wykonał Figurę musiało mieć odpowiedni wiek, to dojdziemy do wniosku, że jego historia może sięgać nawet dziejów chrztu Polski i rozkrzewiania się wiary katolickiej w Środkowej Europie.

Piszący te słowa doznał łaski uzdrowienia. W 1964 r., mając 12 lat, w dzień sylwestrowy ciężko zachorowałem. Lekarze z limanowskiego szpitala, gdzie zostałem przewieziony w dniu 3 stycznia (w dniu imienin mojej Mamy Genowefy), powiedzieli, że tylko cud może mnie uratować. Mama wraz z rodziną (mężem i dziećmi) oraz jej siostra Anielcia (z rodziną), ks. W. Ślęk i ks. J. Bukowiec wraz z uczniami przed lekcjami religii, wszyscy gorąco modlili się o moje uzdrowienie. Moja siostra Danusia, na prośbę Rodziców chodziła do Mordarki do Kaplicy MB Bolesnej i przynosiła stamtąd wodę z cudownego źródła. Jedynie tę wodę piłem przez prawie miesiąc i z tej wody robiono mi zimne okłady, tzw. kompresy (o tym pisała moja Mama, *W podzięce Matce Bożej Bolesnej „Mater Dolorosa”*, nr 1/1993, s. 9–10, wspominałem też i ja w monografii: *Bazylika MB Bolesnej w Limanowej*, s. 22, która powstała z potrzeby serca i jest swoistym wotum za otrzymane łaski). Jak z powyższego wynika, na koronację Piety limanowskiej można patrzeć co najmniej z dwóch perspektyw: bardzo osobistej, którą powyżej zarysowałem i drugiej, bardziej ogólnej, którą poniżej postaram się scharakteryzować.

Każda szanująca się rodzina limanowska żyła Koronacją już od miesięcy. Od dłuższego czasu trwały przygotowania: te duchowe i te widoczne wewnątrz kościoła (choćby przebudowa ołtarza głównego, czy też przed samymi uroczystościami budowa przepięknego ołtarza polowego na tyłach obecnej Bazyliki). W dniu Koronacji poszedłem z Ojcem i najmłodszym bratem Winicjuszem na uroczystości. Po drodze mijaliśmy pielgrzymów pieszych i podróżujących różnymi pojazdami. Widziało się jakby „Wędrówkę Ludów” (były grupy Węgrów i Słowaków) czy też pospolite ruszenie, bo kto żyw zdążył na uroczystości do Limanowej. Największe wrażenie pozostawili po sobie ci pielgrzymi, którzy podróżowali konnymi bryczkami. Ludomir Dutka – sowlinianin ujął to tak: „Ludzie zjeżdżali drabiniastymi wozami. Po kilka osób wchodziło na taki wóz z lytrami, który służył do przewożenia siana



Po koronacji Cudowną Figurę Matki Bożej Bolesnej wnoszą do kościoła koronatorzy: bp Karol Pękala i bp Jerzy Ablewicz. Za Pietą podąża abp Karol Wojtyła.

z pola do stodoły. Tu po kilka czy kilkanaście osób siedziało na wozie”. Trud poniesiony nie grał tutaj żadnej roli. Chodziło tylko o to, by dotrzeć na miejsce i to na czas. Widziało się też powracającą młodzież (licealną i pedagogiczną), która wywieziona dzień wcześniej do Mszany Dolnej na zlot młodzieży na Lubogoszczy, mimo grózb i wyciągnięcia wobec niesubordynowanych konsekwencji, nie bacząc na to, zmęczona, ale ochotnego serca rankiem następnego dnia wyruszyła w drogę powrotną, by zdążyć na miejsce uroczystości. Z pewnością byli pośród nich i tacy, którzy początkowo ulegli demagogii i propagandzie, ale gdy się przespali i przemyśleli całą zaistniałą sytuację, zawrócili z drogi, włączając się w nurt pielgrzymi zdążający do Limanowej.

Ojciec i ja z bratem dotarliśmy na plac koronacyjny, ale jednak nie znaleźliśmy dla siebie odpowiedniego tam miejsca (Mama i moje siostry mogły z bliska obserwować Koronację, gdyż śpiewały w chórze parafialnym). Ponieważ plac był wypełniony mrowiem ludzi, a Ojciec słyszał z tego, że był dobrym strategiem, dlatego obrał dla nas miejsce porośnięte drzewami (w cieniu, co nie było bez znaczenia, gdyż dzień był ciepły, pogodny i słoneczny) na zboczu wzgórza pod Siwym Brzegiem (dziś znajduje się ono za Domem Kultury). Mając dobrą pozycję naprzeciw Ołtarza Polowego, ale w znacznym od niego oddaleniu, nawet sokole oko nie było w stanie dostrzec jakichkolwiek szczegółów, toteż ktoś półgłosem zawołał: „Przydałaby się lornetka”. I zaraz, jakby za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki, zaczęła po zboczu krążyć dyżurna lornetka, która mimo oddalenia umożliwiła chociażby przez moment spojrzenie „z bliska” na to, co działo się „na i wokół” ołtarza koronacyjnego. Mnie jako młodemu 14-letniemu chłopcu było dane (dzięki Ojcu) raz czy dwa popatrzeć w soczewki lornetki i do dziś zatrzymałem w swojej pamięci dosyć wysoko w górę ponad ołtarzem wyniesioną Pietę limanowską (już po koronacji) i poważną, ale zadowoloną twarz Koronatora abp. Karola Wojtyły, głoszącego homilię. Z kazania zapamiętałem jedynie *okrucy*, gdyż głos głośników przypląwał i odpływał jak fala (plac był wprawdzie radiofonizowany, ale nie na tyle dostatecznie, by można było wysłuchać kazania bez trudności). Głos dochodził do uszu pątników falami i lepiej słyszeli ci, którzy stali w korycie Potoku Starowiejskiego (przypominało mi to obraz *Chrzest Chrystusa w Jordanie*). Jak ryby wyrzucone na brzeg łakną wody, tak pątnicy łaknęli słowa Bożego. Jako młody człowiek z uczyty dla oczu zapamiętałem falujące morze głów pod błękitnym, limanowskim nieboskłonem i ludzi nawet na dachach domów, a z uczyty dla uszu słowa abp. Wojtyły: *Jezus jest mniejszy od Maryi, jakby Ona przypominała sobie moment, gdy Go trzymała na rękach, jak był mały*. Po latach, jako historyk sztuki, dowiedziałem się, że taki typ przedstawienia nazywa się *corpusculum*. Pod koniec uroczystości wysłuchaliśmy rotę przysięgi złożoną przez proboszcza parafii ks. Ludwika Kowalskiego, a na zakończenie wybrzmiało dziękczynne *Te Deum laudamus*. ▶

► Po uroczystościach Ojciec z bratem udali się do domu, a ja zostałem na inscenizacji przedstawienia obrazującego dzieje MB limanowskiej, przygotowanego przez młodzież ze Słopnic pod reżysem ks. Józefa Fulary, któremu pomagał kleryk Józef Trzópek. Była to wizja, która utrwalala powszechne wyobrazenie o po- bycie MB limanowskiej pośród biednego ludu Beskidu Wyspowego. Po spektaklu, gdy ludzie rozchodzili się do domów, przystanków, stacji lub swoich pojazdów, na wąskich limanowskich ulicach, tuż przy kościele i poza nim, jeszcze przez jakiś czas utrzymywał się tłum i panował spory ścisk. Patrząc na ludzi, widać było na ich twarzach zmęczenie, ale i satysfakcję oraz za- dowolenie, że mogli być na tej tak ważnej dla Limanowej i Diecezji Tarnowskiej uroczystości. Było to zwycięstwo ducha nad zmęczoną mate- rią ciała. Więcej, był to swoisty chrzest dziejowy w Roku Millenijnym dla ponad 100-tysięcznej rzeszy zgromadzonych pielgrzymów w tym położonym *wśród gór Beskidu w cichej dolinie* miasteczku, które chyba nigdy nie widziało dotychczas tylu ludzi, księży i biskupów naraz. Miasto było od tamtego momentu postrzegane przez pryzmat tego wydarzenia, największego niewątpliwie dla Limanowej w XX w. Limanowa przez szereg jeszcze dni, miesięcy i lat, a nawet po dzień dzisiejszy odcina przysłowiowe kupony po tamtej uroczystości koronacyjnej. Gdy w 1971 r. przyjechałem na studia do Krakowa i spotykałem się po raz pierwszy z przyszlými moimi kolegami i koleżankami, na ich pytanie, skąd jesteś, odpowiadałem: z *Limanowej*, oni dopowiadali: *Byliśmy na koronacji z rodzicami w Limanowej*. Chwalili ład, porządek i organi- zację. I chociażby tymi stwierdzeniami koronacja przez szereg lat odbijała się większym lub mniejszym echem w środowisku krakowskim.

Po 17 latach od Koronacji w Limanowej Matka Boska limanowska, jak niegdyś polscy królowie, przybyła do Królewskiego Miasta Krakowa, by 22 czerwca 1983 r. tu na Błoniach krakowskich, gdzie zgromadziło się ok. 1,5 miliona pielgrzy- mów, otrzymać z rąk swojego sługi Jana Pawła II przy udziale ks. prał. Józefa Poręby, złoty dia- dem, który tym razem włożony został również na skronie Jej Syna. I ten fakt jeszcze bardziej rozsławił kult Matki Boskiej limanowskiej. Czyż tym i poprzednim aktem koronacyjnym miasto Limanowa nie zostało wyniesione do godności królewskiego – Matczyngo miasta Maryjnego? Niezbadane są więc wyroki Boskie. I ja – Józef Szymon Wroński – też tam wów- czas byłem i mogłem, dziękując Matce Boskiej za otrzymane łaski, przeżywać radosne chwile w swoim życiu.

Fotografie: arch. parafii limanowskiej, albumu „Okrucy pamięci”

Ks. Stanisław Wojcieszak

Limanowski Chór Pueri Cantores na Międzynarodowym Kongresie w Rzymie

W poczytnym tygodniku katolickim „Niedziela” z dnia 17 stycznia 2016 roku (nr 3 str. 11-12) ukazał się obszerny wywiad z księdzem profesorem Robertem Tyrałą zatytułowany „Kto dobrze śpiewa, dwa razy się modli”. Wywiad prze- prowadził rzymski korespondent tego pisma Włodzimierz Rędzioch. Wywiad, w którym wspomniany jest Chór Chłopięcy Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej ubogacony jest zdjęciem przedstawiającym ten chór, jak podą- ża z krzyżem pielgrzymim od Zamku Anioła znad Tybru do Drzwi Świętych w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie. Okazją do pielgrzymki chłopięcego chó- ru z Limanowej był czterdziesty (XL) Międzynarodowy Kongres Pueri Cantores organizowany w Rzymie w dniach od 28 grudnia 2015 do 1 stycznia 2016 roku.



W Europie istnieje od wieków tradycja śpiewu chórów chłopięcych w czasie liturgii. Zwracało na to uwagę wielu papieży, m.in. Grzegorz Wielki (590-604) i Pius X (1903-1914). By odpowiedzieć na życzenie papieża, w 1907 roku Pierre Martin i Paul Berthier założyli w Paryżu stowarzyszenie sku- piałące chóry chłopięce. W 1944 roku, na zakończenie II wojny światowej, ks. Fernard Mailliet, duszpasterz skautów uznał, że chłopcy należący do tego ruchu, winni też bardziej zaangażować się w liturgię i ubogacać ją śpiewem, modląc się przede wszystkim o pokój. Z biegiem lat idea księdza Mailliet rozeszła się na wszystkie kontynenty. Aktualnie istnieje w 39 krajach świa- ta. Są państwa, gdzie działa bardzo dużo chórów dziecięcych należących do Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores. W Niemczech jest ich po- nad 450, w USA – około 150, we Francji – ponad 100, we Włoszech prawie 90, w Polsce – 40. Kryterium przynależności do Federacji jest wychowanie młodych w duchu chrześcijańskiej wiary, przywiązanie do Kościoła i tro- ska o piękno muzyki sprawowanej w czasie liturgii. Takie rozśpiewane



spotkanie chórów dziecięcych z całego świata odbywa się co dwa lata, a co trzecie organizowane jest w Rzymie. Spotkanie w Rzymie odbywa się w okresie Bożego Narodzenia, aby dzieci wraz z aniołami mogły wyśpiewać Dzieciątku Jezus „Chwała na wysokości Bogu”. By mogły też spotkać się z papieżem i razem z nim, w Nowy Rok, który jest Dniem Pokoju, modlić się o pokój na całym świecie. W czasie tegorocznego Kongresu chórzyci wzięli udział w audiencji z papieżem Franciszkiem w auli bł. Pawła VI (31.12. godz.11⁰⁰). W Roku Miłosierdzia uczestnicy audiencji kilkakrotnie powtarzali za Papieżem w języku włoskim słowa: „Tylko Bóg jest dobry”, tak aby je sobie zapamiętali i nimi żyli. Następnym spotkaniem z Ojcem Świętym było uczestnictwo w Nowy Rok we Mszy Świętej w Bazylice Świętego Piotra na zakończenie Kongresu, a potem udział w modlitwie Anioł Pański na Placu przed Bazyliką.

W XL Kongresie Pueri Cantores w Rzymie wzięło udział 127 chórów z 18 państw. Najwięcej, bo aż 33 było z USA, z Niemiec i Francji było po 20 chórów, z Włoch 18. Z Polski przybyły do Wiecznego Miasta trzy chóry: Chór Chłopięco-Męski Pueri Claromontani z Jasnej Góry w Częstochowie, Chłopięco-Męski Chór Katedralny z Poznania i nasz Chór Chłopięcy z Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Te trzy polskie chóry uczestniczyły we wspólnej narodowej Eucharystii, sprawowanej we wtorek 29 grudnia w kościele świętego Stanisława Biskupa i Męczennika (via delle Batteghe Oscure 15). Jest to jeden z najcenniejszych polskich zabytków poza granicami kraju. Kościół z zabudowaniami został przekazany polskim pielgrzymom w 1578 r. przez papieża Grzegorza XIII na prośbę kardynała Stanisława Hozjusza. W ołtarzach i na ścianach kościoła są obrazy świętych polskich, a mianowicie: Stanisław Biskup, Jan Kanty, Jadwiga Śląska, Kazimierz oraz Jan Paweł II. Patrząc na młode pokolenie Polaków dodawali śpiewającym chłopcom animuszu do pięknego wykonania rodzimych kolęd.

Nad organizacją międzynarodowego spotkania śpiewających dzieci czuwał ksiądz profesor Robert Tyrała z Krakowa, który aktualnie jest przewodniczącym Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores. Całość kongresu i program zostały już wcześniej ustalone i starannie przygotowane. W poszczególnych chórach przećwiczono pieśni i kolędy, które potem wykonane były wspólnie. Niesamowite wrażenie i przeżycie muzyczne było, gdy prawie 4 tysiące dzieci z różnych państw świata śpiewało wspólnie pieśni na cześć Pana.

Każdy z chórzystów otrzymał nuty, identyfikator i inne pamiątki oraz żółtą torbę z napisem „*Cantate spem vestram*” – „*Wyśpiewajcie waszą nadzieję*” – gdyż takie było hasło Kongresu. Po tych żółtych torbach można było rozpoznać uczestników z różnych krajów. Razem z dziećmi przybyli ich opiekunowie, dyrygenci i 60 kapłanów. W sumie było około 6 tysięcy uczestników. Z Limanowej wzięło udział 30 chórzystów, 8 opiekunów, dyrygent Halina Dyczek i piszący ten artykuł.

Limanowska pielgrzymka rozpoczęła się w sobotę 26 grudnia. Po zapakowaniu bagaży do autokaru, o godzinie 5⁰⁰, udała się w drogę. O godzinie 6¹⁵ była Msza Święta w Sanktuarium Gaździny Podhala w Ludźmierzu, a potem dalsza jazda na nocleg w pobliżu Wenecji. Następnego dnia była podróż przez Włochy. Niestety gęsta mgła uniemożliwiła podziwianie pięknych widoków, ale dzięki filmom o niezwykłych miejscach i osobach tego kraju, można było w autokarze zapoznać się z tym, co będzie do zwiedzania. Około południa, 27 grudnia, pielgrzymi nawiedzili Asyż, a w nim Bazylikę Matki Boskiej Anielskiej i znajdujący się w niej kościółek „Porcunkula”. Tu rozpoczęła się niezwykła przygoda duchowa świętego Franciszka (1181-1226) i tu umarł. Na czas Roku Jubileuszowego świątynia jest kościołem uprzywilejowanym i można w niej zyskać odpust. By wczuć się w atmosferę średniowiecznego miasta, pielgrzymi przeszli wąskimi uliczkami górnego Asyżu, nawiedzając Bazylikę Świętej Klary (1257). Tu znajduje się krzyż, z którego ►

► przemówił do Franciszka Chrystus, a w krypcie jest jej ciało (1194-1253). Za zgodą siostr klarysek chór zaśpiewał dwie polskie kolędy, które zgromadzeni tam ludzie przyjęli gromkimi brawami. Po drodze chłopcy nawiedzili jeszcze kościół upamiętniający rodzinny dom Franciszka. Celem wędrówki był grób tegoż świętego, nad którym wnet po jego śmierci franciszkanie wzniesli monumentalną, dwupoziomową bazylikę. To w niej w 1253r. papież Innocenty IV kanonizował Świętego Stanisława ze Szczepanowa. W tej bazylice święty Jan Paweł II spotkał się z przedstawicielami różnych religii świata i modlił o pokój. Przed frontonem świątyni, na wolnym powietrzu, była urokliwa szopka. Ustawiono 34 figury prawie dwumetrowej wysokości oraz dobytek pasterzy. 27 grudnia, o godzinie 17⁰⁰, w tej to bazylice odbyło się dziękczynienie za beatyfikację dwóch polskich franciszkanów, którzy ponieśli śmierć męczeńską w Peru w 1991 roku. Byli to ojcowie Zbigniew Strzałkowski i Michał Tomaszek. 5 grudnia 2015 roku papież Franciszek ogłosił ich błogosławionymi. W dziękczynnej Mszy Świętej sprawowanej przez kilkunastu kapłanów, wśród nich także Polaków, wzięła udział duża liczba wiernych. Liturgię ubogacił śpiewem kolęd limanowski Chór Chłopięcy. Jego pięknemu śpiewowi dodawał splendoru wspaniały akompaniament grającego na organach zakonnika oraz bardzo dobra akustyka.

Pobyt w Rzymie rozpoczął się 28 grudnia rano, przejściem Drogą Pielgrzymią od Zamku Anioła przez Święte Drzwi w Bazylice Świętego Piotra, do jego grobu. Droga ta, to specjalny chodnik, wytyczony barierkami z drogi Conzilazione, po którym przechodzą pielgrzymi z krzyżem i modlitwą, rozważając tajemnice Bożego Miłosierdzia. Niezwykłym przeżyciem, specyficznym dla Roku Miłosierdzia, było przejście tą Drogą Pielgrzymów. Po zwiedzeniu Bazyliki Świętego Piotra i modlitwie przy grobie Jana Pawła II, o godzinie 18⁰⁰, w Auli Pawła VI nastąpiła inauguracja Kongresu. Mimo tłoku, każdy z uczestników przechodził, podobnie jak na lotnisku, przez bramkę antyterrorystyczną, a potem było już wspaniale. Najpierw rozwrzeszczane, a potem rozśpiewane dzieci z różnych krajów świata stwarzały niepowtarzalną atmosferę młodości i radości. Jak na stadionie wykonywały tzw. fałę.

Kongres rozpoczął się uroczystym wprowadzeniem flag poszczególnych państw, odśpiewaniem hymnu kongresowego oraz przemówieniami przedstawiciela Watykanu i przewodniczącego Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores księdza Roberta Tyrały. W następnym dniu, 29 grudnia, była wspomniana Msza Święta w kościele św. Stanisława Biskupa, a potem zwiedzanie starożytnego Rzymu oraz Muzeum Watykańskiego i Kaplicy Sykstyńskiej. O 20³⁰ w Bazylice XII Apostołów limanowscy chórzyści wysłuchali wspaniałego koncertu w wykonaniu chórów z Francji, Austrii, Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej. Ten ostatni strojami i subtelnością wykonania dzieł Mozarta, Haendla, Stendera i innych artystów wzbudził szczególnie entuzjazm.

30 grudnia, o godz. 11⁰⁰, w Bazylice Serca Chrystusa Króla była modlitwa o pokój, w której uczestniczyły wybrane chóry, w tym z Limanowej. Każdy z uczestników otrzymał zdjęcie z informacją o osobie, którą należy polecać Bogu z powodu prześladowania chrześcijan. W tym dniu pielgrzymi nawiedzili też dwie bazyliki większe: Świętego Jana na Lateranie i Matki Bożej Większej – Opiekunki Rzymu. W tej ostatniej bazylice trwały przygotowania do otwarcia Świętych Drzwi. Zwiedzili też Koloseum i inne zabytki Wiecznego Miasta.

31 grudnia rano odbyła się w auli Pawła VI próba śpiewów na zakończenie Kongresu, a po niej przybył na audiencję papież Franciszek. Po audiencji chórzyści z Limanowej nawiedzili czwartą Bazylikę Większą Świętego Pawła za Murami. Po południu zaś w domowej kaplicy Sióstr Antoninek sprawowana była Msza Święta na zakończenie Roku Pańskiego 2015 i odśpiewano uroczyste *Ciebie Boga wysławiamy*. Podobnie jak w Polsce, tak i w Rzymie, sylwestrową noc zagłuszały petardy, które wystrzeliwano nad miastem o północy prawie przez godzinę.

W ostatnim dniu Kongresu, 1 stycznia, w Bazylice Świętego Piotra odbyła się Msza Święta z modlitwami o pokój na świecie. W częściach stałych śpiewającym dzieciom z całego świata towarzyszył chór watykański Cappella Sistina. Części zmienne, kolędy, śpiewały zespolone chóry dziecięce. Po zakończeniu Mszy Papieskiej była jeszcze modlitwa Anioł Pański, spojrzanie na Bazylikę, choinkę i szopkę ustawioną na placu przed nią i wyjazd do Loreto.

Loreto to miasto związane z życiem Świętej Rodziny, gdyż tu, w 1292 roku, krzyżowcy przewieźli z Nazaretu część domu, w którym mieszkała Maryja, Józef i Boże Dziecię. Z powodu rozpoczęcia Nowego Roku, sanktuarium nawiedziła niezliczona ilość pielgrzymów. Szczególnym miejscem w tym sanktuarium jest kaplica polska, ilustrująca nasze ojczyste dzieje. Jak w poprzednie dni, tak i tu chórzyści nie zapomnieli o swoich domownikach, rodzicach i rodzeństwie, wychowawcach i dobrodziejach. Miejscem noclegu w Loreto był klasztor Sióstr Nazaretanek, wpisanych na trwałe w życie religijne tego miejsca. W ciemności wieczoru, z latarkami, była wędrówka na polski cmentarz wojenny, na którym spoczywa 1080 Polaków, którzy na ziemi włoskiej walczyli o wolność. Wśród nich jest Adam Szumański, urodzony w 1902 w Limanowej (sektor XIV-B-10) i Zygmunt Pattocy, urodzony w 1916 r. w Słopnicach (sektor VI-B-1). Tu młodzi pielgrzymi zapalili znicze i odśpiewali hymn narodowy oraz „Boże coś Polskę”. Piękna lekcja patriotyzmu! Wczesnym rankiem następnego dnia rozpoczęła się droga powrotna. Szczęśliwi oraz bogaci w przeżycia, przybyli chórzyści do Limanowej 3 stycznia około godziny 2⁰⁰ w nocy.

Ponieważ pielgrzymka wypadła w Okresie Bożego Narodzenia, podziwiać można było we wszystkich kościołach, a także na placach miejskich, w witrynach sklepowych, restauracjach i domach, przepiękne i bardzo rozbudowane oraz urozmaicone bożonarodzeniowe szopki. Mniej było natomiast choinek, a oświetlenia ulic i domów były wyważone i jednokolorowe. Pielgrzymkę i udział w Kongresie należy zaliczyć do bardzo udanych. Złożyły się na to: zdyscyplinowanie chłopców, zaangażowanie wychowawców i opiekunów, życzliwość i dyspozycyjność kierców, otwartość ludzi, którzy gościli chórzystów oraz organizacja kongresu i pielgrzymki, w którą zaangażowała się pani Kazimiera Wrona. Nade wszystko towarzyszyło pielgrzymom Boże błogosławieństwo, wstawiennictwo Matki Boskiej limanowskiej oraz święty Stanisław Kostka, który jest patronem młodzieży. Pielgrzymka ta jest wspaniałym wprowadzeniem w jubileusz 25-lecia Chóru Chłopięcego w Limanowej, który będzie przeżywał w 2016 roku. Do zrealizowania pielgrzymki przyczyniło się wielu Dobrodziejów i Sponsorów, za co uczestnicy wyjazdu z serca dziękują!

Fotografie: archiwum chóru

Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego.

Budowa kościoła w Sowlinach

Wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca

– budowniczego i proboszcza kościoła cz. 2



Zdobywanie i gromadzenie materiałów

Przewidując rychłe nadejście pozwolenia na rozpoczęcie budowy kościoła, zaczęliśmy gromadzić pospule, piasek, grys i inne niezbędne materiały – mówił ks. Prałat. – Żelaza musiałem szukać po różnych Gminnych Spółdzielniach (dalej: GS) w Polsce, gdzie z pomocą pospieszył nam p. Władysław Garcarz, prezes GS w Tymbarku, mieszkaniec Sowlin, nasz parafianin i człowiek z duszą społecznika. Również kierownik Składu Materiałów w Tymbarku był nam bardzo życzliwy. Zwyczajnie – mówił ks. Prałat – mogłem kupić tylko to, co zbywało „ze stołu pańskiego”, bo przydział był uniemożliwiony (nie wolno było sprzedawać materiałów na budowę kościołów). Pragnę nadmienić, że byłem dwukrotnie wzywany na posterunek MO, gdzie pytano mnie, czy dawałem jakieś łapówki za kupno materiałów. Nie dość tego, pokazano mi nawet kwity podpisane przeze mnie na materiały, których nie można było dostać bez zlecenia. Inne, brakujące materiały ściągałem z różnych GS (działających w kraju), często na swoje nazwisko, a p. Władysław Lubecki, księgowy, preparował kwity na poszczególnych parafian, jakoby to oni dokonywali zakupów (na cele gospodarcze). Na przykład dowiedziałem się, że w Białym Dunajcu jest spora ilość stali zbrojeniowej – żebrówki do kupna. Była to stal niewiadomego pochodzenia,

która trafiła do Białego Dunajca w formie zwrotu (prawdopodobnie z budowy zapory w Czorsztynie (nie została ona tam przyjęta) i oni ją chcieli upłynnić. Pojechałem tam i kupiłem ją na swoje nazwisko, ale księgowy nie chciał mi tego wprowadzić do ksiąg (wymyślaliśmy więc takich ludzi, którzy po parę metrów mogliby ją „wirtualnie” wykupić).

Jak z powyższych wspomnień ks. prał. Jana Bukowca, budowniczego kościoła w Limanowej-Sowlinach, wynika, władza nie szła na rękę przy zakupie materiałów; były one zdobywane, a nie – tak jak dzisiaj – kupowane, a następnie po zapłaceniu trzeba je było „biurokratycznie rozparcelować”, by mieć odpowiednie kwity, że zakupione zostały przez obywateli (na budowę najczęściej różnych budynków gospodarczych), bo ksiądz nie mógł ich (tak po prostu) kupić. System zmuszał do takich działań: była to istna, niebezpieczna „gra w ciuciubabkę” z władzami (jak to ktoś słusznie określił), przechytrzenie, kombinowanie itp., a w szczególności walka z drastycznymi przepisami skierowanymi przeciwko Kościołowi. Nieludzkie przepisy zmuszały do takich a nie innych działań, by nie dać się złapać (obawa zawsze była: złapią czy nie złapią, bo można by było słono za to zapłacić). ▶

Rozpoczęcie budowy kościoła

► Po odprawieniu porannej Mszy św. rozpoczęliśmy budowę kościoła – mówił ks. Prałat – wykopami we wrześniu 1979 r. Budowaliśmy kościół systemem gospodarczym, ale pracowały także koparki, spycharki i wielu ludzi, którzy łopatami nabierali ziemię i taczkami ją wywozili. Widać było u tych ludzi ogromny entuzjazm i zaangażowanie, że budują dla siebie, swoich dzieci, wnuków i prawnuków, jednym słowem dla następnych pokoleń Dom Boży w Limanowej, w dzielnicy Sowliny.

Patrzyłem z podziwem na tych ludzi, na inżynierów, którzy projekt techniczny wykonali, ale z nie mniejszym podziwem obserwowałem tych, którzy go realizowali. Kierownikiem budowy został mgr inż. Franciszek Michałek, majstrem był Mikołaj Sułkowski, a później po nim funkcję tę przejął Jan Golonka. Fachowcem, który patrzył i doglądał dokładności wykonywania wszelkich szalunków przy budowie był Władysław Wikar. Na przykład stopa pod przyporę ma wymiary: 6 m długości, 2,5 m szerokości i 1,5 m wysokości. Gdyby tych stóp nie było, przypory mogłyby (przy niewielkich drganiach czy innych katalizmach) przebić podłoże i zapaść się w ziemię. Konstrukcja ramowa kościoła trzyma się właśnie na tych stopach. Do jednej ramy przypory wchodziło ok. 28 prętów stali zbrojeniowej (wymiały przypory: 1 m na 60 cm). Tworzenie konstrukcji takiej ramy przy prymitywnych środkach technicznych i wykonawczych, w większości pracy ręcznej, graniczyło z ogromnym wysiłkiem ludzkim i było bardzo niebezpieczne. Ową konstrukcję trzeba było utrzymać pod odpowiednim kątem, a ciężar prętów był niewyobrażalny. Z jednej strony elewacji było 9 przypór, tak samo po drugiej stronie elewacji, w sumie jest 18 (przypór), do tego dochodzą jeszcze słupy wewnątrz, podtrzymujące owe ramy i środkowe słupy, na których spoczywa płyta-stropowa podstawa kościoła górnego. Deski szalunku przypór zakładano od spodu, tworząc ramy, aby w nich układać zbrojenie, a następnie tył i boki stopniowo szalowano, wiążąc tzw. skrzynię 8-milimetrowym drutem zbrojeniowym i zalewano betonem.

Gdy zalewano konstrukcję, słychać było wydobywającą się poprzez deski szalunku dziwną muzykę nieznaną mi dotychczas (świadcząca o istnym bólu rodzenia), złożoną z syczenia, bulgotania i kwilenia, która towarzyszyła jako akompaniament precyzyjnej pracy robotników, by idąc w górę, zakrywając konstrukcję szalunkiem od tyłu, z boków i z przodu postępować tak, aż cała przypora zostanie ukończona. Była to – powtarzał ks. Prałat wielokrotnie – ogromnie odpowiedzialna i zarazem precyzyjna praca, gdyż szalunki musiały utrzymać ogromny ciężar, przypory musiały być utrzymane pod odpowiednim kątem i musiały się spotkać w górze z przyporami po drugiej stronie. Geodeta mgr inż. Jan Widomski, uzbrojony w odpowiedni sprzęt, stojąc za rzeką Sowlinką, korygował teoretyczne ustalenia w praktyce i pamiętam – mówił ks. Prałat – jak kazał przesunąć szalunek o pałkę (czyli główkę gwoźdźnia w szalunku górnym), by wszystko było zgrane, zharmonizowane i spięte „na medal”. Fundamenty i mury kościoła rosły w zadziwiającym tempie z wielkim entuzjazmem i zapałem parafian. Płyta stropowa pod główny kościół zalewana była od 5.00 rano do 22.30 wieczorem na trzy zmiany (po 80 osób jedna zmiana), w sumie przy zalewaniu płyty brało udział ponad 200 osób. Pracowały nieprzerwanie dwie betoniarki, każdą z nich obsługiwało po 8 pracowników, a reszta pracowników dowoziła beton na płytę.

Wmurowanie kamienia węgielnego

Kościół dolny po 9 miesiącach budowy (ciężkiej i mozolnej pracy) był już w stanie surowym – zamkniętym, bowiem już 22 czerwca 1980 r. bp Jerzy Ablewicz – Ordynariusz Tarnowski wmurował w ściany dolnego kościoła kamień węgielny poświęcony 8 czerwca 1979 r. przez Papieża Jana Pawła II w Nowym Targu. Przy tej okazji Biskup Ordynariusz powiedział jednoznacznie i aprobusując pracę słowa do przyszłych parafian w Limanowej-Sowlinach: „Byliście jak rój pszczeli, który rozumiał się w tym wielkim ulu parafialnym”. To zacne doprawdy słowa!

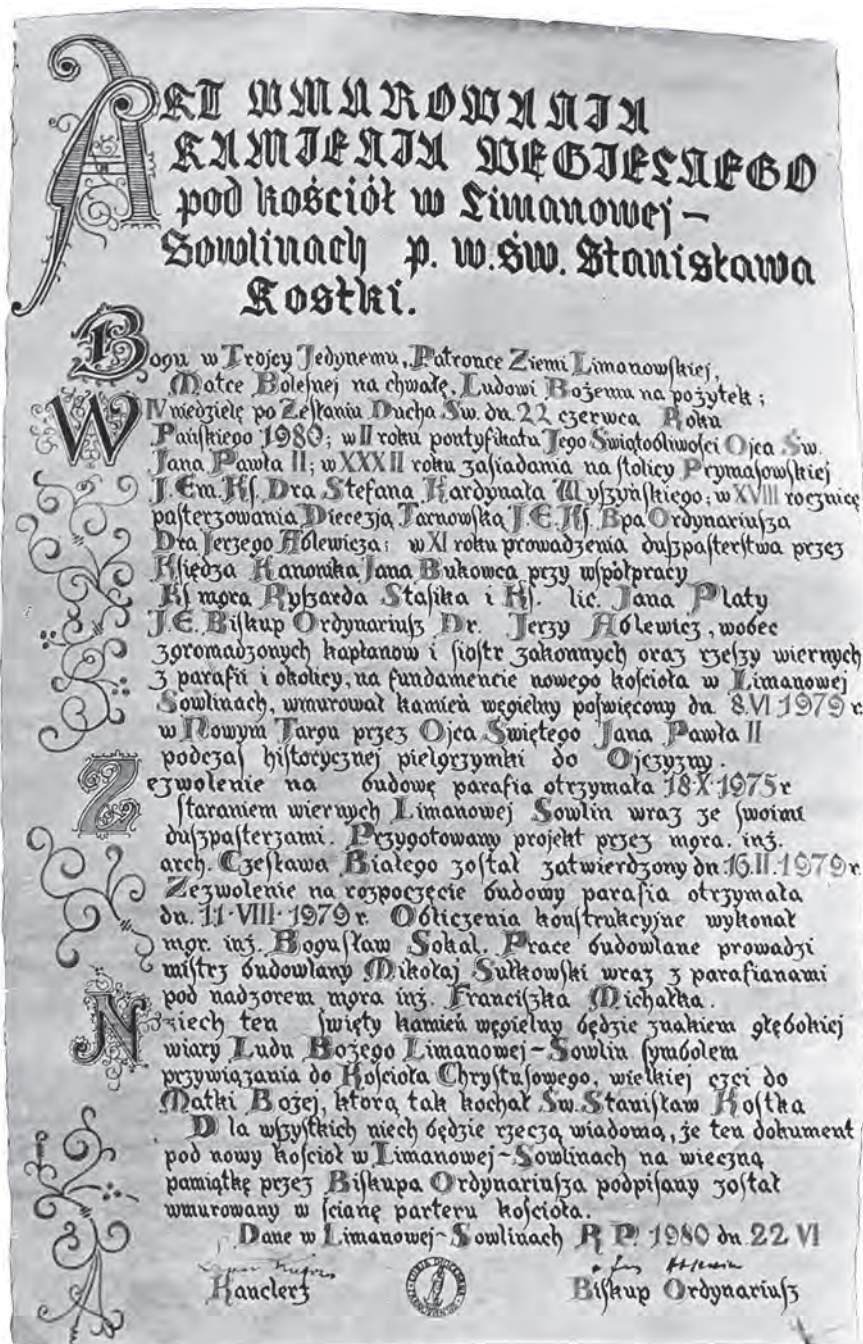
Teraz przyszedł czas na mozolne i powolne wyposażenie kościoła dolnego, by móc odprawiać w nim nabożeństwa oraz na budowę kościoła górnego. Kościół dolny otrzymał wyprawkę tynkową, stolarzkę (okna, drzwi), posadzkę granitową, z czasem także – potrzebny sprzęt. Prace nad kościołem górnym sprowadzały się w pierwszym rzędzie do wykonania stropodachu (warstwy podstawowej, następnie ocieplającej i wyciszającej), a następnie poszycie go blachą miedzianą (zob. poniżej).



Procesja z kamieniem węgielnym. Kamień niosą (od lewej) Franciszek Michałek, Kazimiera Janczy, Michał Drożdżak.



Aktu wmurowania kamienia węgielnego dokonał ks. bp Jerzy Ablewicz.



Akt erekcyjny znajduje się w ścianie parteru dolnego kościoła za tablicą upamiętniającą poświęcenie kamienia węgielnego przez ojca św. Jana Pawła II w Nowym Targu 8 czerwca 1979 roku.

Akt wmurowania kamienia węgielnego pod kościół w Limanowej-Sowlinach p.w. św. Stanisława Kostki

Bogu w Trójcy Jedynemu, Patronce Ziemi Limanowskiej, Matce Bolesnej na chwałę, Ludowi Bożemu na pożytek.

W IV niedzielę po Zesłaniu Ducha Św. dn. 22 czerwca Roku Pańskiego 1980; w II roku pontyfikatu Jego Świątobliwości Ojca Św. Jana Pawła II; w XXXII roku zasedania na Stolicy Prymasowskiej J. Em. Ks. Dra Stefana Kardynała Wyszyńskiego; w XVIII rocznicę pasterzowania Diecezją Tarnowską J. E. Ks. Bpa Ordynariusza Dra Jerzego Ablewicza; w XI roku prowadzenia duszpasterstwa przez Księdza Kanonika Jana Bukowca przy współpracy Ks. mgra Ryszarda Stasika i Ks. lic. Jana Platy J. E. Biskup Ordynariusz Dr Jerzy Ablewicz, wobec zgromadzonych kapłanów i sióstr zakonnych oraz reszty wiernych 3 parafii i okolicy, na fundamencie nowego kościoła w Limanowej Sowlinach, wmurował kamień węgielny poświęcony dn. 8. VI 1979 r. w Nowym Targu przez Ojca Świętego Jana Pawła II podczas historycznej pielgrzymki do Ojczyzny.

Zezwolenie na budowę parafia otrzymała 18 X 1975 r. staraniem wiernych Limanowej Sowlin wraz ze swoimi duszpasterzami. Przygotowany projekt przez mgra inż. arch. Czesława Białego został zatwierdzony dn. 16 II 1979 r. Zezwolenie na rozpoczęcie budowy parafia otrzymała dn. 11. VIII 1979 r. Obliczenia konstrukcyjne wykonał mgr inż. Bogusław Sokal. Prace budowlane prowadzi mistrz budowlany Mikołaj Sułkowski wraz z parafianami pod nadzorem mgr inż. Franciszka Michałka.

Niech ten święty kamień węgielny będzie znakiem głębokiej wiary Ludu Bożego Limanowej - Sowlin symbolem przywiązania do Kościoła Chrystusowego, wielkiej czci do Matki Bożej, którą tak kochał Św. Stanisław Kostka.

Dla wszystkich niech będzie rzeczą wiadomą, że ten dokument pod nowy kościół w Limanowej - Sowlinach na wieczną pamiątkę przez Biskupa Ordynariusza podpisany został wmurowany w ścianę parteru kościoła. Dane w Limanowej - Sowlinach R. P. 1980 dn. 22 VI



Pamiątkowe tablice wmurowane w dolnym kościele.



Ks. Jan Bukowiec na rusztowaniach w czasie budowy kościoła.

Budowa schodów głównych do kościoła

▶ Przy kontroli (urzędnicy rządowi) stwierdzili, że przekroczyliśmy metraż 800 m² i za karę zakazano (nam) budowy schodów. W miejsce schodów proponowali, abyśmy usypali nasyp ziemny (musiałby on mieć co najmniej długość samego kościoła, by był sens jego realizacji, a poza tym, skąd wziąć tę masę ziemi i furmanki, samochody czy traktory do jej zwózki). Ksiądz Prałat, jak zawsze nawet w trudnych momentach, nie tracił rezonu i żartobliwie, ratując się humorem, skwitował to następująco: *Skoro mamy kościół, a nie można do niego zbudować schodów, to każdy parafianin przyniesie ze sobą drabinę i po tych drabinach będziemy wychodzić do kościoła (na Msze św. i nabożeństwa).* A ktoś również obdarzony dowcipem dopowiedział: *Ślusznie, bo dlaczegóż by nie można było wspinać się po drabinie Jakubowej ku górze, ku niebu!*

Zwróciłem się więc – mówił ks. Prałat – do władz miejskich o pozwolenie na budowę schodów. Pojawili się wnet panowie Jan Kubowicz, naczelnik miasta i Rudolf Zaczyński, architekt miejski, wówczas spytałem ich, ile ziemi trzeba by przywieźć, żeby nasyp w wysokości 4 m z pochylnią nadawał się do użytku. Nie czekając na ich odpowiedź, powiedziałem im – mówił ks. Prałat dalej – żelazo mam, które pozostało mi jeszcze z budowy kościoła, proponuję więc 19 m długą i 9 m szeroką konstrukcję, do której dobudujemy schody i powtórzył ks. Prałat: lepiej zrobić konstrukcję niż wozić ziemię (której nie wiadomo jeszcze, ile będzie potrzeba i skąd ją wziąć i czym przywieźć). Gdy zapadła cisza (była więc cicha aprobata na takie rozwiązanie), upoważniłem zaraz inż. Franciszka Michałka do przygotowania planu technicznego takiej konstrukcji. Rozpoczęły się więc znów starania i powstały nowe plany realizacyjne schodów przed kościołem. Była to kolejna, niezbędna inwestycja, ale także od strony estetycznej bardzo potrzebna. Założenie schodów z pomieszczeniem pod tarasem nadało kościołowi odpowiedni wyraz i podbudowało kościół wizualnie i estetycznie, dostrajając wejście do bryły

i frontonu kościoła. Pomieszczenie pod schodami może być wykorzystane w przyszłości – powiedział mi ks. Prałat – na jakieś funkcjonalne cele (na przykład na składzik, salkę, kaplicę lub jeszcze coś innego). [Wspomnienia z 27 listopada 2015 r.]

Erygowanie parafii w Limanowej-Sowlinach

W dniu 8 grudnia 1980 r. na kanwie wydarzeń społeczno-politycznych i złagodzonych restrykcji względem Kościoła katolickiego w Polsce, ks. bp dr Jerzy Ablewicz – Ordynariusz Tarnowski erygował w Limanowej-Sowlinach parafię pw. św. Stanisława Kostki, a jej proboszczem został mianowany ks. Jan Bukowiec, dotychczasowy administrator placówki rektoralnej 1. Jeśli przypomni sobie datę poświęcenia pierwszej kaplicy w Sowlinach, które odbyło się również 8 grudnia, to dziwnym zbiegiem okoliczności dla jednych, a za cudownym zrządzeniem Opatrzności dla drugich, 35 lat później powstała w nawiązaniu do tradycji (poświęcenia i otwarcia tamtej kaplicy) parafia z budującym się nowym kościołem w Sowlinach.

Praca ks. Prałata jako administratora i proboszcza

Po zwolnieniu w 1969 r. ks. Władysława Ślęka z dotychczasowego stanowiska, niespodziewanie spadło na mnie – powiedział ks. Prałat – zlecenie zajmowania się rektoratem w Limanowej-Sowlinach. Po wizytacji kanonicznej w 1970 r. powiedziałem do Ordynariusza bp. dr. Jerzego Ablewicza, że nie spodziewałem się samodzielnej placówki, a jeśli o tym kiedyś marzyłem, to wyobrażałem ją sobie między innymi tak: plebania, ogród i małe gospodarstwo, ponieważ pochodzę z gospodarstwa rolnego. Na to ks. biskup odparł: „Czegoś mi o tym wcześniej nie powiedział” (gdy o tym opowiadałem swoim kolegom – księżom, dworowali sobie z tego wielce, mówiąc: no tak, gdybyś wcześniej powiedział, dostałbyś

z pewnością nie jakąś tam, ale taką gospodarke, gdzie miałbyś kilka starych budynków gospodarczych do rozbiórki). Ks. bp Ordynariusz, kontynuując rozmowę ze mną, mówił tak: „Tutaj jesteś mile widziany i duszpasterstwo ładnie prowadzisz”. Z zachowania Ordynariusza (i przekazu słownego między wierszami) wynikało, że bp J. Ablewicz był bardzo zadowolony ze spotkania z ludźmi (w rozmowie z nimi zebrał opinie na mój temat).

I tak na własną rękę – mówił ks. Prałat – gospodarowałem aż do momentu mianowania mnie przez władze rządowe w 1980 r. i potwierdzenia przez Kurie. A wyglądało to mniej więcej tak: Kuria wystawiła mnie jako kandydata. Urząd ds. Wyznań wezwał mnie na przesłuchanie. Po potwierdzeniu opinii i uzgodnieniu z Kurią Diecezjalną otrzymałem wezwanie do złożenia przysięgi wierności PRL w Urzędzie ds. Wyznań w Nowym Sączu (Gdy złożyliśmy przysięgę, cała nasza trójka księży na znak protestu odmówiła „poczęstunku” kawą. Zostało to odczytane bardzo źle przez stronę rządową). Dopiero po tym nastąpiła wymiana dokumentów państwowych, że Urząd wyraża zgodę na proboszcza i Kuria przysłała dekret o mianowaniu ks. Jana Bukowca proboszczem w Limanowej-Sowlinach. Wcześniej zapytano mnie jeszcze, jak ma nazywać się parafia. Oni chcieli, żeby była w nazwie tylko Limanowa, a ja – dodał ks. Prałat – chciałem uszanować i dowartościować mieszkańców Sowlin i powiedziałem, że ma być parafia pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach. To się parafianom sowlińskim bardzo spodobało.

Zostając administratorem, przygotowywałem się poniekąd – mówił dalej ks. Prałat – do roli, która miała mi być wkrótce przydzielona. Musiałem się liczyć z tym, że nie mam praktycznie nic. Nie mogłem udawać wielkiego proboszcza, tylko z wikariuszami prowadzić duszpasterstwo i przygotowywać się do budowy kościoła. Te role administratora, duszpasterza, a następnie proboszcza zazębiały się, a w wielu przypadkach nawet nakładały na siebie. Największym wyzwaniem, jakie stanęło przede mną wraz ze współpracownikami, było prowadzenie duszpasterstwa i objęcie katechizacją (800 uczniów)

szkół podstawowych i (ponad 1000 młodzieży) szkół średnich, której z roku na rok przybywało (aż do 1300). Muszę powiedzieć, że miałem dobrych współpracowników. Trudność organizacyjna polegała tylko na tym, że każdy z księży mieszkał gdzie indziej, w innym miejscu (każdy w innym domu). „Aby mieszkać razem w kupie”, jak wyraził się ks. Prałat, potrzebna była plebania. Trzeba ją było dopiero zbudować.

Mając od 1980 r. osobowość prawną, już jako parafia staraliśmy się o pozwolenie na budowę plebanii, by mieć odpowiednie warunki do pracy i godziwego zamieszkania. Pozwolenie na budowę plebanii władze wydały bez większych trudności (były to już nieco inne warunki polityczne po okresie solidarnościowym), ale chciano także, aby księża, którzy pomieszkowali tymczasowo na różnych stacjach u osób świeckich (każdy osobno), „siedzieli razem w kupie”, jak dosadnie wyraził się ks. Prałat i mieli mniej kontaktu z ludźmi (ludem pracującym miast i wsi). Plac, który był przed kościołem, zaplanowany jako teren pod budowę przestrzennej – plenerowej Drogi Krzyżowej, musiałem odwołać (po otrzymaniu zezwolenia na budowę plebanii), żeby było miejsce na jej budowę, dającej jeden wspólny dach nad głową dla wszystkich księży. Arch. Czesław Biały, projektant kościoła, zaprojektował plebanię, którą Kuria po pewnych poprawkach zaaprobowła. Drobne korekty, które zasugerowała Kuria (i ja też niewielkie poprawki wprowadziłem) polegały między innymi na uściśleniu funkcjonalności domu plebańskiego.

Poświęcenie kościoła dolnego

„Stan wojenny – mówił ks. Prałat – nie opóźnił tempa prac przy budowie kościoła, a nawet je przyspieszył na skutek wzmożonej ofiarności parafian i innych darczyńców”².

Mury rosły... i już po pięciu latach od rozpoczęcia budowy w Niedzielę Wielkanocną roku 1984 ks. bp dr Piotr Longin Bednarczyk – rodak limanowski, a zarazem Wikariusz Generalny Diecezji Tarnowskiej – poświęcił dolny kościół, mieszczący także trzy sale katechetyczne, zakrystię i pomieszczenia ▶



Uroczystość poświęcenia dolnego kościoła przez ks. bp. Piotra Bednarczyka w asyście kanclerza kurii tarnowskiej prałata ks. Jana Rzepy.



Symboliczne otwarcie bramy. W dniu 16 maja 1993 roku Ordynariusz Tarnowski bp Józef Życiński konsekrował kościół w Limanowej-Sowlinach.

gospodarcze. Muszę dodać – mówił ks. Prałat – że połowę materiału na stolarkę budowlaną sprowadziłem aż z Bydgoszczy z likwidowanego tartaku. Był tam m.in. dąb szlachetny, którego struktura jest taka, że pozostaje mało odpadów przy jego obróbce. Ma on strukturę podobną do jodły, tylko – dodał ks. Prałat – jego wielką zaletą jest to, że jest twardy. Józef Kaleciński ze Szczawy wraz ze swymi synami (m.in. Andrzejem) wykonali stolarkę budowlaną (okna, drzwi i inne) ³.

Dalsze lata budowy 1984–1993

Po poświęceniu kościoła dolnego, prace nad górnym kościołem (i jego podstawowym wyposażeniem), który w 1984 r. był w stanie surowym zamkniętym, trwały do 1993 r. Najistotniejszym problemem było pokrycie dachu kościoła blachą miedzianą, na którą trzeba było uzyskać zezwolenie. Władze wojewódzkie nie chciały się na to zgodzić (prosiły, aby decyzję wydał wojewódzki architekt, a ten nie chciał), więc podstawiono architekta, który rozpracowywał plany kościoła i Centrala Metali Nieżelaznych w Katowicach-Imielni, przyjęła tę decyzję, i kupiliśmy u nich – mówi ks. Prałat – blachę miedzianą na pokrycie dachu.

W dalszym ciągu trwały prace przy wyposażeniu wnętrza kościoła. Po położeniu wyprawki na ścianach, czyli wytynkowaniu kościoła wewnątrz, trzeba było położyć posadzkę kamienną, w prezbiterium i nawie z marmuru. Zamówiono ołtarz, chrzcielnicę oraz tabernakulum, aby były dostarczone na czas i zamontowane przed konsekracją kościoła. Witraż w ścianie czołowej prezbiterium, wypełniający negatywowo krzyż w tej ścianie, został zainstalowany w 1991 r. na 200-lecie Konstytucji 3 Maja. Prace te (ołtarz, tabernakulum, chrzcielnicę oraz witraż) zaprojektował Zdzisław Piekarczyk, artysta z Wrocławia. On też zaprojektował ławki do górnego kościoła, które wykonała firma budowlana Stoldom w Limanowej-Łososinie Górnej, prowadzona przez Mieczysława Kaima z Limanowej. Ławki proste, funkcjonalne są bardzo wygodne. Wielu księży z różnych miejscowości w Polsce – powiedział mi ks. Prałat – przyjeżdżało do nas i brało z nich wzór na ławki do swoich kościołów.



Konsekracja kościoła

W dniu 16 maja 1993 r. Ordynariusz Tarnowski – bp prof. dr hab. Józef Życiński (1948–2011) – konsekrował kościół w Limanowej-Sowlinach. Była to chwila przez wszystkich od dawna wyczekiwana, bo na kościół w Sowlinach ich mieszkańcy czekali od dziesiątków lat. Po konsekracji kościoła w dalszym ciągu trwało jego wyposażenie: doszły ławki, konfesjonały, kłęczniki i inny sprzęt, niezbędny w kościele. Ks. Prałat zamówił u miejscowego rzeźbiarza Jana Kurka, rzeźby do ołtarza głównego: najpierw artysta wykonał krucyfiks, a następnie figurę Matki Bożej i św. Jana Ewangelisty.

Fotografie: arch. parafii w Sowlinach, Józef Staniszewski

Część trzecia w kolejnym wydaniu „Echa Limanowskiego”

¹ Mając w planie budowę kościoła Proboszcz wystąpił zaraz w tym samym roku z prośbą do Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Wyznań o pozwolenie na budowę kościoła.

² Por. Zbigniew Sułkowski, *Parafia pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach (1980–2000)* [w:] *Limanowa – Dzieje miasta, T. II, 1945–1989*, pod red. Tomasza Biedronia, Kraków 2002, s. 485.

³ Po latach nowe ławki do dolnego kościoła wykonał Andrzej Sowa.

Pamięci profesora Józefa Staniszewskiego

*Otaczacie miasto wieńcem,
porosłe lasami,
słońce patrzy na was – góry
pospołu z chmurami.
Ślicznie wtedy wyglądacie,
radość z serca wionie.
Barwne piękno w duszę wpływa,
czar wasz oko chłonie.*

Józef Staniszewski – Na góry w Limanowej

W minionym roku minęła bez echa 20 rocznica odejścia do innego świata profesora Józefa Staniszewskiego zasłużonego pedagoga, wychowawcy, matematyka, fotografa, miłośnika naszych gór i patrioty.

Jestem jedną z bardzo nielicznej garstki jego pierwszych uczniów. Pozostała nas zaledwie siódemka z klasy liczącej 29 uczniów, która zdawała maturę w 1951 roku. Dlatego wspomnienia będą sentymentalne i nostalgiczne.

Trudne początki

Pan profesor Józef Staniszewski podjął pracę w limanowskim gimnazjum i liceum w październiku 1947 roku. Dyrekcja powierzyła Mu w naszej klasie III a (gimnazjum) pierwsze w jego życiu wychowawstwo oraz nauczanie matematyki, której przez poprzednie 2 lata uczył nas prof. Gajewski. Mieliśmy wówczas po 15 – 16 lat (niektórzy nieco więcej).

Któregoś dnia na początku października wszedł do klasy „nowy pan” i bez ceremonii przedstawiania go przez dyrektora, taksującym spojrzeniem objął cały zespół i powiedział, że będzie nas uczył algebry będącej gałęzią matematyki, a poza tym powierzono mu funkcję wychowawcy naszej klasy. W związku z tym, gdy ktoś będzie miał jakiś problem, to może się do niego zwrócić, ale tylko na przerwie, bo materiał do realizacji duży, a czasu mało. Następnie wzięszy do ręki kredę, zaczął pisać na tablicy rachunek operatywny na wyrażeniach algebraicznych.

W klasie zapadła cisza wywołana lękiem przed czymś nieznanym. Siedzieliśmy jak na przysłowiowym tureckim kazaniu. Na koniec Profesor podyktował nam pracę domową obejmującą szereg zadań od najłatwiejszych do bardzo trudnych, których nie rozwiązały najtęższe matematyczne umysły klasowe, a było ich sporo w zespole. Chciał się bowiem zorientować, jak wygląda nasza matematyczna wiedza. Na następnej lekcji



Józef Staniszewski (1909-1995)

sprawdzał i zapisywał oceny, negatywne tym, którzy nie potrafili rozwiązać ani jednego zadania. Ta systematyczna kontrola trwała aż do półroczia.

Profesor nie był z nas zadowolony, a my byliśmy przerażeni. Później zaczęło się dopiero zmieniać. Profesor nigdy nie pracował w szkole średniej z uczniami, którzy nie mają jeszcze ukształtowanych zainteresowań i nie wszyscy wykazują „ciągoty” do przedmiotów ścisłych. Pan profesor tego nie rozumiał, bo przed wojną, gdy studiował na Uniwersytecie Wileńskim i był pomocnikiem asystenta, znajdował się w gronie osób, które interesowały się przedmiotami ścisłymi, głównie astronomią, do wielu stwierdzeń dochodziły same, a my byliśmy jeszcze na to za młodzi.

Widząc brak postępów u swych uczniów, doszedł do wniosku, że trzeba przyjąć inną metodę i zacząć tłumaczyć krok po kroku. Po latach ten pierwszy okres pracy w naszym ogólniaku nazwał

„orką na ugorze”. Z biegiem czasu „ugór” zaczął się zmieniać w pole uprawne, a my polubiliśmy naszego eleganckiego, przystojnego wychowawcę o wyróżniającym się sposobie bycia.

Nadal niewiele wiedzieliśmy o Nim, bo nigdy o sobie nie mówił, ale były to czasy, że lepiej było za wiele nie wiedzieć. Oprócz wiedzy przejmowaliśmy od Niego wiele innych ważnych cech jak np. punktualność. Nasz wychowawca pod tym względem był ideałem. Obserwowanie Go weszło nam w nawyk. Cieszyło nas, że wiemy więcej o Nim niż inni, ale nie rozmawialiśmy o naszym wychowawcy z kolegami z innych klas. Pan Profesor wpajał nam bowiem zasadę dyskrecji.

Z wolna zaczynaliśmy zupełnie inaczej patrzeć na swego wychowawcę, choć ciągle nas onieśmiałał. Szczególnie dało się to odczuć przy odpowiedziach.

Ten lęk, uważne spojrzenie zza okularów powodowały, że wypowiedzane zdania były nieporadne. Aby to zwalczyć

► Profesor rozpoczął w czasie przerw tzw. „rozmowy przy piecu”. Zwykle pod koniec lekcji „rzucił” jakąś zagadkę, a gdy dzwonek zadzwonił zamknawszy dziennik podchodził do ciepłego kaflowego pieca, a uczniowie (głównie chłopcy) otaczali go zbitą gromadką i zaczynała się jej rozwiązywanie.

Nie chodziło właściwie o zagadki, ale o rozwijanie naszej ciekawości, zadawanie pytań, dzielenie się wątpliwościami bez żadnej presji, bez oceny, spontanicznie. Te krótkie „posiady” topiły lody i rozwijały myślenie.

Profesor przestawał być dla nas obcym człowiekiem. Wkrótce zasypywaliśmy Go lawiną pytań na różne tematy, które nas nurtowały nawet z metafizyki, starożytnych kultur, religii itp. Unikało się tylko rozmów o polityce. Pod koniec roku profesor zauważył, że bardzo „wyrosliśmy” fizycznie i umysłowo. Sami też mieliśmy świadomość, że jesteśmy inni.

W tym czasie praca w szkole średniej nie należała do łatwych. W każdym miesiącu Profesor udawał się służbowo do Krakowa na konferencję metodyczną mającą dać dodatkową wiedzę pedagogom, szczególnie tym, którzy nie mieli pełnych studiów wyższych. To nie dotyczyło naszego profesora, ale wyjątków dla nikogo nie robiono. Dojazd do Krakowa był drogą przez mękę. Pociągami z przesiadką i postojem w Chabówce podróż trwała w jedną stronę 7-8 godzin.

Po nieprzespanych dwóch nocach podążał nie narzekając na lekcje i ciesząc się, że przywiózł kilka pomocy naukowych do ćwiczeń z fizyki i książki do biblioteki szkolnej.

Nasz Profesor mimo pracowitości i oddania uczniom był źle widziany przez czynniki polityczne i uważany za reakcjonistę, choć nie dawał do tego powodu i nigdy nie mówił o swoich przekonaniach.

Takich jak on podejrzanych bez powodu wzywano „do instancji”, przepytywano „na okoliczność”, przywoływano do porządku, a najczęściej przenoszono do innej placówki, zwykle gorszej lub zwalniano z pracy, tłumacząc to konieczną kompresją etatów.

To też czekało naszego matematyka, bo kuratorium już kogoś znalazło na Jego miejsce, tym razem zasłużonego towarzysza.

Aby uzasadnić swoją decyzję, polecono mu złożyć egzamin z marksizmu i leninizmu razem z konkurentem.



Grono Pedagogiczne Powiatowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego w Limanowej - 1947 rok. Pierwszy z lewej Józef Staniszewski.

Przygotował się do tego bardzo solidnie, ale mimo tego czuł wielką treść.

Nie chodziło nawet o to, że następnym miejscem pracy miał być Miechów, o wiele mniej krajobrazowo atrakcyjny, ale żał mu było uczniów, do których się przywiązał, wiele ich nauczył i był im potrzebny. Okazało się, na szczęście, że konkurent nie zaprezentował żadnych wiadomości i musiano go odrzucić. Dlatego Profesor Staniszewski pozostał w Limanowej, a nam, swoim uczniom opowiedział o swych przeżyciach dopiero, gdy był na emeryturze i „czasy” się zmieniły.

Pomoc materialna dla uczniów

W pierwszych powojennych latach limanowska szkoła średnia była placówką prywatną i uczniowie musieli płacić czesne. Uzyskane wpłaty stanowiły całą jej budżet, który musiał wystarczyć na wszystkie wydatki włącznie z wynagrodzeniem pedagogów.

Było to duże obciążenie dla rodziców uczniów. Poza tym wielu z nich pochodziło z dalekich wiosek. Dlatego musieli mieszkać na stancjach, co zwiększało wydatki. Niektórzy mimo znacznych odległości dochodzili do szkoły z rodzinnych domów, pokonując codziennie w jedną stronę nawet 10 km (np. z Kaniny). Dlatego zdarzały się przypadki rezygnacji z nauki.

Tym najbiedniejszym postanowił p. Profesor pomóc, bo widział, że często nie

stać ich było nawet na zakup zeszytów. Najpierw robił dyskretny wywiad, a potem załatwiał im stypendium fundowane przez Towarzystwo Burs i Stypendiów w Nowym Sączu. Bardzo pomagał Mu w tym dziele ks. prof. Władysław Ryś - szkolny katecheta.

Inną doraźną pomocą w czasie mroźnych zim było załatwianie dla najdalej dochodzących uczniów krótkotrwałych pobytów na stancjach, gdzie mieszkali już inni ich koledzy. Profesor osobiście udawał się do właścicieli domów i prosił o nieodpłatne przyjęcie dodatkowych lokatorów chociaż na kilkanaście najmroźniejszych dni i jeśli można o skromny posiłek dla nich. Zawsze udawało mu się to załatwić, a korzystający byli wdzięczni za to zarówno Profesorowi jak i właścicielowi lokalu.

Wychowawca przeprowadzał też poufne rozmowy dotyczące sytuacji rodzinnej uczniów. Zdobywszy potrzebne informacje organizował popołudniowe „dożywianie” dla uczniów, którzy mieli do pokonania długą powrotną drogę do domu. Dochodzący musieli sobie sami przygotować posiłek, który składał się z chleba ofiarowanego przez piekarnię i marmolady dostarczonej z Tymbarku. Kiedy dyżurni gotowali mleko lub kakao z proszku otrzymanego z UNRR - y, inni kroili chleb i smarowali go marmoladą lub margaryną. Czekający uczniowie odrabiali w tym czasie lekcje, często korzystając z wiedzy bardziej zaawansowanych kolegów lub czytali lektury.

Po posiłku szli do domów. Warto zaznaczyć, że dla niektórych był to pierwszy posiłek w tym dniu.

Interesował się też stanem zdrowia powierzonej mu czeladki, bo zdarzały się zasłabnięcia i bóle żołądka spowodowane złym odżywianiem lub niedożywieniem. O interwencję i pomoc prosił wówczas p. dr. Hłynia pracującego w szpitalu. Potrzebujący otrzymywali często bezpłatne leki najczęściej z PCK.

Mądre lub zabawne powiedzonka

Pan Profesor był bardzo wymagającym pedagogiem i człowiekiem. Jednakowo traktował wszystkich, doceniał zainteresowania i zdolności uczniów, ale bolał nad tym, że matematyka nie dla wszystkich była „królową nauk”. Cóż robić, gdy dla niektórych była prawdziwą zmorą utrapieniem, demonem.



Przed szkołą w Sowlinach z młodzieżą, Józef Staniszewski stoi w środku, obok Szczepan Gajewski - ówczesny dyrektor liceum. Lata czterdzieste XX wieku.

Zaczął nas do niej różnymi sposobami przekonywać, często kończąc lekcje hasłami typu: „*Matematyka jest skrzynią, po otwarciu której zdobywa się klucz do innych nauk*”; „*Matematyka jest nauką zadziwiająco piękną i tajemniczą jak cała przyroda*”; „*Matematyka jest niezwykle prosta i... łatwa*” lub „*Matematyka ocaliła mi życie*”.

To ostatnie zdanie wytłumaczył nam dopiero po zmianach politycznych, a zatem w okresie, gdy szkolne zmagania były daleko poza nami i byliśmy już wszyscy na emeryturze.

Rzecz dotyczyła 1939 r. i internowania go przez moskiewskich komisarzy. Badany przez enkawudzistę zwykle nocami, za każdym razem na zakończenie otrzymywał to samo pytanie – czym zajmował się w cywilu przed wojną. Pytanie było o tyle uzasadnione, że jedynym dokumentem znalezionym przy nim była legitymacja studencka z wpisem: zawód – student. Pytający nie rozumiał tego i powtarzał ciągle to samo pytanie. Wreszcie były student dodał: *Uczyłem matematyki*.

Badający oniemiał, a po chwili zapytał jeszcze: *Taaak, uczyłeś matematyki?*

Nie było to zgodne z prawdą, ale potwierdziłem: *Tak, uczyłem, to był mój obowiązek*.

Wtedy stało się coś dziwnego. Komisarz NKWD wyszedł z biurka, podał mu

rękę i odprowadził do drzwi. Nasilenie badań zmalało, a potem ustało zupełnie.

To chyba z szacunku do matematyki – zastanawiał się jeszcze po latach nasz Profesor. Spodziewał się najgorszego etapu, wywózki na Sybir i bał się, że nie przeżyje pierwszej zimy.

Kiedy został znów wezwany, komisarz wręczył mu bilet kolejowy do Wilna. Ponadto przydzielił mu na czas podróży dwóch żołnierzy, by go chronili przed Litwinami. Żołnierze odprowadzili go do progu wileńskiego mieszkania i oznajmili, że jest wolny. Poczul się bardzo szczęśliwy i dziękował Bogu za ocalenie.

Drugi raz zachował życie, gdy otrzymał wezwanie z biura meldunkowego. Kiedy się zgłosił, został wcielony do wojska i wysłany do Kołobrzegu, w którym toczyły się krwawe walki. Za dwa dni po wyjeździe z Wilna palacz z Uniwersytetu doniósł do odpowiednich władz, że „taki to obywatel” pracował w kadrze naukowej uczelni.

NKWD pospieszyło natychmiast pod wskazany adres, ale adresata już nie było. W Kołobrzegu został ranny w głowę, a od innych obrażeń ocalił go załadowany ekwipunkiem plecak wielokrotnie przestrzelony. Przeleżał 3 miesiące w szpitalu wojskowym, a potem los zrzucił, że znalazł się w Limanowej.

Odnosiliśmy się z całym szacunkiem do matematyki, ale nie wszystko

do nas trafiało. Zresztą jak wyglądałby świat, gdyby po nim wędrowali sami matematycy?

A gdzie opiewanie jego piękna i stwarzanie wielkich dzieł, do których potrzebne są także inne nauki?

Lubiliśmy naszego matematyka i zdawaliśmy sobie sprawę z naszych niedostatków i braków. On też wiedział, że z tych istot z humanistycznym, artystycznym, sportowym czy innym zacięciem też „będą ludzie”, ale czasem „tej reszcie” mocno nagadał. Pewnego razu znużony naszą powolnością i małym refleksem zapytał:

– *Czy wiecie dlaczego człowiek tworzy wynalazki?*

I odpowiedział: *bo z natury jest leniwy i robi wszystko, by mu było łatwiej żyć*. Wywiązała się dyskusja, bo wszyscy uważaliśmy, że to bardzo pozytywna cecha. Po co tak ciężko pracować, gdy można lepiej urządzić sobie życie. Wróciliśmy do tego tematu wiele razy, ale już nie na lekcjach.

Profesor nie miał zbyt dobrego zdania zwłaszcza o niektórych Polakach. Czasem zdenerwowany grzmiał:

Ależ ci Polacy są leniwi! Niemcy są o wiele mniej od nas zdolni, ale są pracowici. I do czego doszli ze swoją pracowitością?

Możemy na nich psy wieszać, ale oni i tak wyjdą na swoje.

► A Czesi tak samo.

Niejednemu przydałoby się tęgie łanie albo przynajmniej należałoby nim mocno potrząsnąć. Niespodziewana reprimenda miała przemówić do naszej ambicji a nawet dumy narodowej.

Te ciekawe momenty wspominaliśmy po latach, przyznając w większości przypadków słuszność swojemu Wychowawcy. Nasze wypowiedzi lub żarty trafnie dobrane do rozmowy lub sytuacji potrafił zauważyć i nagrodzić odpowiednim przysłowiem lub stwierdzeniem jak: „*Milczenie jest znakiem zgody*”; „*Lepszy łut szczęścia niż cetnar rozumu*”; „*Carpe diem (chwytaj dzień) – korzystaj z każdego dnia*”; „*De te fabula narrator – o tobie w bajce mowa*”; „*Decente discimus – ucząc innych, sami się uczymy*”; „*Pacta servanta sunt – umowy obowiązują*”; „*Re-spice finem – patrz końca*” i wiele innych.

Profesor mówił je po łacinie, a my sami je tłumaczyliśmy, dodając inne już od siebie, aby w ten sposób podkreślić, że jesteśmy godnymi uczniami naszego łacinnika p. prof. W. Jończyka, który podkreślał, że człowiek wykształcony zawsze musi mieć „pogotowie słowne”, a w nim stosowne maksymy z tego starożytnego języka.

Miłość do gór i wycieczki krajoznawcze

*Rozświetlone słońca blaskiem
pod zasłoną nieba
w raj mi świat ten przemieniacie.
Nic więcej nie trzeba.*

J. Staniszewski – *Na góry w Limanowej*

Profesor J. Staniszewski był zauroczony naszymi górami. Podziwiał te bliższe i dalsze – Beskid Wyspowy, Gorce, Pieniny i Tatry. Szczególnie jednak przypadły mu do serca najbliższe szczyty. Im to poświęcił swoje wiersze. Pisał je właściwie do szuflady, dla siebie. Wspominał o nich w czasie jednego z koleżeńskich zjazdów, gdy rozmawialiśmy w niewielkiej grupie. Na nasze prośby przeczytał kilka. Były proste, ale wyrażały ogromne uczucie. Padła propozycja, by je ogłosił drukiem lub pozwolił uczynić to nam. Obiecał to przemyśleć, ale nigdy do tego nie doszło. Miał obiekcje, bo wydawało mu się, że zostaną źle przyjęte.

Mówił: – Nie wiem, co by na to powiedzieli inni moi uczniowie. Czy nie straciłbym u nich twarzy?

Tłumaczyliśmy, że inni matematycy też potrafią wyrazić swoje uczucia

w mowie wiązanej, ale machał tylko ręką.

Wracając jednak do początków organizacji i wycieczek krajoznawczych, to miały one miejsce już na wiosnę 1948 r. Profesor czynił to przez cały czas, nawet wówczas, gdy był już w zaawansowanym wieku. Każda, nawet najkrótsza wyprawa z Nim bywała niezwykłą przygodą i zrywała z rytmem codzienności.

Profesor na wycieczkach był zupełnie innym człowiekiem. Bardzo opiekuńczy, bacznie obserwował uczestników, a gdy widział, że ktoś miał niewyraźną minę, podchodził i pytał o przyczynę niezadowolenia. Był bowiem zdania, że troska jednego uczestnika kładzie się cieniem na samopoczucie pozostałych. Ofiarował różne formy pomocy np. pieniądze na przejazd lub żywność. W tym czasie bowiem uczestnicy wycieczek musieli zabierać z sobą aprowizację na cały czas ich trwania. Na kilkudniowe wyprawy potrzebny był plecak, a w nim cieplejsze odzienie na wypadek zmiany pogody i zrolowany koc do przykrycia nocą. Wychowawca nigdy koca nie zabierał, bo cały plecak był wypełniony aparatem fotograficznym i akcesoriami niezbędnymi do robienia zdjęć.

Noclegi były przeważnie w góralskich stodołach. Profesor do spania, (żołnierskim zwyczajem) zakładał dres, owijał się dużym wykrochmalonym prześcieradłem (aby siano nie kłuło), kładł się, naciągał na siebie grubą warstwę pachnącego siana i śmiejąc się mówił czeskie przysłowie: Kto ma sadło, temu snadno (bogatemu łatwiej). Jeśli razem z grupą wędrowała także prof. „Nasturcja” (Eugenia Naturska) żartowała, że o północy profesor wstanie i będzie nas straszyl.

Potem już w każdym roku sezon wycieczkowy w liceum zaczynał się majową wyprawą na Turbacz. Profesor otrzymał od wycieczkowiczów epitet „Rączy Jeleń” i tak już pozostało.

Wycieczki miały to do siebie, że do wyznaczonych punktów wchodziło się inną trasą przeważnie trudniejszą, a zejścia były łatwiejsze i stwarzały sposobność do wymiany zdań.

Tylko w Tatrach ze względu na bezpieczeństwo uczestników musiały być zachowane surowe rygory.

Powrót do domów po pieszych wędrówkach po Ziemi Limanowskiej Wychowawca planował tak, by choć na chwilę odwiedzić gniazdo rodzinne kogoś z uczestników. W ten sposób poznawał warunki domowe swoich uczniów.

Wiedza o nich była mu potrzebna na wywiadówkach, by czasem bronić uczniów nawet przed ich rodzicami, gdy stawiali swoim dzieciom zbyt duże wymagania, nie zapewniając im minimum wygód.

Interweniował też u swoich kolegów, gdy spostrzegł, że uczniowi dzieje się krzywda.

Zabawne były przygotowania do pierwszej wycieczki w Tatry. W wyprawie mieli wziąć udział tylko chłopcy, bo dziewczęta były (podobno) za słabe kondycyjnie. Wybrańcy zadzierali nosa, narażając się na odwet ze strony słabszej płci. Skompletowana grupa po badaniu lekarskim (by wykluczyć chorych na serce i astmę) zaczęła czynić przygotowania. Jeden z uczestników podekscytowany wyprawą w „nieznane”, a także po to, by pokazać, że zna się na rzeczy, zapytał: - Czy trzeba zabrać sprzęt do wspinaczki?

Odpowiedź brzmiała: - Ja się nie draپیę, gdzie mnie nie swędzi. Owszem, zabieram sprzęt fotograficzny.

Drapał się czasem nad prawym uchem, gdy blizna po ranie otrzymanej pod Kołobrzegiem przypominała o sobie, a my „ani rusz” nie mogliśmy zrozumieć poruszanych zawilosci matematycznych. Organizowanie wycieczek i udział w nich, pokazywanie młodemu „urody” Ojczyźnej Ziemi było powołaniem naszego Wychowawcy, który w ten sposób uczył ich patriotyzmu i przywiązania do tego, co bliskie, rodzime, polskie. Czynił to przez całe swoje życie, także wówczas, gdy przeszedł na emeryturę.

Fotografika – największa pasja

Profesor na każdą wycieczkę, a nawet dalszy spacer czy wyjście w plener zabierał swój aparat fotograficzny, który nazywał „kamera obscura”, czyli czarna skrzynka. Czasem usprawiedliwiał się, że aparat stary i z wyglądu obskurny, ale na to nic nie można poradzić. Przedwojenny sprzęt utracił zaraz po wybuchu wojny, a w powojennym okresie nie było sklepów z aparaturą fotograficzną. Aparaty można było nabyć jedynie w komisach i to za dosyć wysoką cenę. Dobry aparat fotograficzny w owym czasie to bardzo ciężki „instrument”. Do niego należały: statyw, światłomierz oraz szklane klisze, które trzeba było chronić przed rozbiciem i światłem słonecznym. Ponieważ Profesor często po drodze fotografował, musiał całą tę „maszynę” nosić poza plecakiem.



Józef Staniszewski, zasłużony nauczyciel I LO w czasie obchodów 40-lecia szkoły.

Z biegiem czasu zaczęto w Polsce produkować aparaty fotograficzne, sprowadzać z zagranicy i otwierać sklepy, w których można je było kupić. Toteż Profesor starał się wymieniać swój stary sprzęt na nowoczesny, prawie reporterski, ale trwał przy technice czarno – białej uważając, że ona najlepiej pokazuje fotografowany obiekt. Potrafił kilka razy dziennie fotografować ten sam tematycznie „obrazek” przy różnym stopniu padania promieni słonecznych, porównywać efekty i wybierać najlepsze.

Bardzo chętnie przekazywał zainteresowanym swą wiedzę na temat sztuki fotografowania i techniki obróbki zdjęć.

Jednemu z uczniów, który bardzo chciał to robić, pomógł zdobyć fundusze na zakup sprzętu. Najpierw pożyczył mu potrzebną kwotę na zakup aparatu i środki do obróbki zdjęć, a potem znalazł mu dorywcze zajęcie w sklepiku szkolnym, aby miał z czego spłacić dług. Ów fotograf – amator robił potem uczniom za drobną opłatą zdjęcia do legitymacji szkolnych. Koszt był niewielki, a zysk obustronny.

Nieoceniony pedagog robił do szkolnej kroniki zdjęcia z różnych uroczystości i wydarzeń, uwieczniał krajobrazy okolicznych gór, stare domostwa i wymowne przydrożne kapliczki.

Po przejściu na emeryturę sporządził kronikę fotograficzną budowanej w Sowlinach świątyni. Czynił to systematycznie od podstaw budowy aż do ukończenia. Przy okazji obserwował majstrów i był pełen uznania dla pomysłowości



Zwiedzanie Opactwa Cystersów w Szczyrzycu w czasie spotkania nauczycieli I LO z absolwentami.

i rzetelności ludzi – często samouków, którzy potrafili każdy materiał bardzo ekonomicznie i pomysłowo wykorzystać tak, by się nic nie zmarnowało.

Dokumentowanie rosnącej budowli sakralnej sprawiało mu radość. Podobnie jak utrwalanie krajobrazów i okazów przyrodniczych. Zdjęcia wypełniały kolejne albumy. Na szczęście doczekał się wielu wystaw, część wydano w oddzielnych pozycjach książkowych.

Na emeryturze

W czasie jednego ze spotkań koleżeńskich „po latach” swoim pierwszym absolwentom powiedział:

– Jestem już na emeryturze i dobrze mi z tym. Nikt mną nie rządzi, nie nakazuje, nie wymaga. Zajmuję się tym, co przynosi mi osobistą radość i zadowolenie. Był to rok 1976.

Rzeczywiście czynił to, co lubił. Pomagał wzbogacać zbiory Muzeum Regionalnego w Limanowej, wydatnie wspierał w działaniach Komisję Krajoznawczą i Opieki nad Zabytkami, udzielał się w Zarządzie Oddziału PTTK, wspierał finansowo hospicjum, ciągle zajmował się fotografowaniem, korespondował z wieloma byłymi uczniami, interesował się ich życiem, cieszył się ich sukcesami i chętnie zapraszał do siebie, gdy w końcu zamieszkał w odpowiednim i długo oczekiwanym mieszkaniu.

Uhonorowany licznymi odznaczeniami, dyplomami i listami gratulacyjnymi odszedł na zawsze (9.06.1995 r.) w przeddzień obchodów 50-lecia Liceum Ogólnokształcącego, na które przybyło kilka setek absolwentów z różnych stron Polski i innych krajów. Większość uczestników przedłużyło swój pobyt w Limanowej, by towarzyszyć swemu Profesorowi w ostatniej drodze.

Przed odejściem z tego świata swój bogaty księgozbiór ofiarował bibliotece parafialnej działającej przy parafii w Limanowej – Sowlinach. Wiele konkursowych fotografii i taśmy z nagraniami przekazał I Liceum Ogólnokształcącemu, album fotografii z rzeźbioną oprawą Aleksandra Majerskiego poświęcony limanowskiej Piecie trafił do zbiorów w Watykanie. Szlakiem nazwanym im. Profesora wyruszają młodzi na rajd.

Zacny Panie Profesorze

Teraz, gdy jesteś w innym lepszym świecie, rzuć czasem okiem w stronę Limanowskiej Dziedziny. My o Tobie pamiętamy. Doceniamy to, czegoś nas uczył i cieszymy się, że ten nasz zakątek jest tak piękny, jak w Twoich wierszach.

*Gdy przejdzie dżdżu zasłona,
niebo wyjdzie spoza chmur,
mgliste dymy z lasów, dolin
owiewają szczyty gór.
Znów świat pełen jest uroku
Łśni pięknie jak zorza.
Któż to pięknie tak obmyślił?
Tylko wszechmoc Boża.*



„Złota Linia” - aula wystawowa NOT- Wrocław 2015.

Majówka „Złotej Linii” Elżbieta Wojtas-Ciborska

w programie europejskiej stolicy kultury

Limanową z Wrocławiem łączy wiele. Limanowianin, Aleksander Majerski, człowiek wielu pasji: rzeźbiarz, grafik, malarz, poeta, a nawet aktor, mający za sobą kilkadziesiąt wystaw w Polsce i za granicą z monumentalnymi kompozycjami rzeźbiarskimi, uczestnik licznych Międzynarodowych Plenerów, współzałożyciel Międzynarodowej Grupy Artystycznej „Złota Linia”, wypromował ją na poziom wrocławskiej Europejskiej Stolicy Kultury.



VII Majówka Artystyczna w Myslenicach - maj 2015 r.

Związki Limanowej z Wrocławiem wyznaczała też wielka historia.

Niektórym lwowianom Limanowa nawet zastąpiła Wrocław. Podążając bowiem do tego miasta, zahaczyli oni o Limanową albo też przetrwali tu okupację. Gdy spojrzeli w 1945 roku niezwykły entuzjazm w tworzeniu pierwszych szkół średnich w historii miasta i pęd młodzieży do nauki, natychmiast rzucili się w ten wir, współtworząc wysoki poziom kształcenia, wskutek czego Limanowa stała się „fabryką” przyszłych rektorów wielu polskich uczelni.

Z kolei Wiktor Mamak (1902-1963), wybitny inżynier z Limanowej, absolwent Politechniki Lwowskiej i profesor budownictwa wodnego, w maju 1945 z I grupą kulturalno-naukową wyjechał do Wrocławia, gdzie współorganizował Uniwersytet i Politechnikę Wrocławską.

Limanowianie stale wybierają Wrocław jako Ziemię Obiecaną, widząc w niej szansę spełnienia marzeń. Tu studiują, mieszkają i pracują. Z Kasiny Wielkiej k. Limanowej pochodził m. in. profesor ekonomii Józef Kaleta (1925-2007), w latach 1991-2001 poseł na Sejm III RP.

Wreszcie do Wrocławia ściągają artyści wszelkiego autoramentu, słusznie uważając to miasto za swą Mekkę. Dlatego nie mogło tu zabraknąć „Złotej Linii”.

Nieformalna i Niekommercyjna Międzynarodowa Grupa Artystyczna „Złota Linia” – nie powinna właściwie powstać. Przeczy bożkowi rynku. Grupa może zmieniać swoje konfiguracje i oblicze, zaś liczba członków nie ma żadnego znaczenia. Większość twórców tej Grupy mieszka w Polsce, ale duża ich część mieszka i tworzy na terenie Europy. Dzielą ich wielkie odległości, różnice kulturowe i wreszcie różne uprawiane sztuki... Ale od czego Internet?

Spotkania w cyberprzestrzeni zaczęli odbywać od 2008 roku na portalu społecznościowym GoldenLine (GL), wymieniając doświadczenia, osiągnięcia, poglądy i opinie na wszelkie tematy, nurtujące współczesnych twórców. Na bieżąco cieszyli się sukcesami, podnosili się po porażkach, a od czasu do czasu zstępowali na ziemię, by się spotkać i pochwalić swoim dorobkiem. Dlatego już w roku 2009 poczuli satysfakcję z pierwszej wystawy, która odbyła się w maju tego roku w Folwarku Sztuki Stara Winiarnia w Mszanie Dolnej, drugim co do wielkości mieście na Limanowszczyźnie. Od tej pory do tradycji Grupy weszła coroczna majowa wystawa, której towarzyszy katalog prezentujący prace twórców.

Zatem cechą, która wyróżnia „Złotą Linie” od innych grup na tym padole, jest fakt, że twórcy poznali się dzięki GL, ale spotykają się z regularnością dobrze nastawionego zegarka, prezentując dokonania w galeriach, muzeach, domach kultury, które zapraszają Grupę do swoich

wnętrz. Wystawom towarzyszą recytacje wierszy, muzyka i taniec aż po formy parateatralne. Więcej, niektóre inicjatywy wprost pączkują i w międzyczasie owocują dodatkowymi wydarzeniami kulturalnymi.

Doświadczenia – wypracowane podczas 20 zorganizowanych ekspozycji (6 Majówek oraz 14 wystaw, najczęściej po majówkowych) – są bardzo obiecujące dowodząc, że motorem poruszającym serca i umysły jest chęć i wola wspólnego działania na rzecz szeroko pojętej kultury.

Artystów wzbogacają inspirujące spotkania i rozmowy z publicznością, zaciekawioną ich planami na przyszłość. Nade wszystko odczuwają oni radość z tych spotkań, na które corocznie pilnie czekają. Na koniec warto podkreślić, że obok swego rodzaju frontmana, którą to rolę świetnie wypełnia wspomniany na początku Aleksander Majerski (zorganizował większość wystaw dla Złotej Linii), współzałożycielami tego fenomenu od samego początku m.in. Andreas A. Małecki, satyryk i malarz (zaprojektował logo Złotej Linii i założył je na portalu GL), Dana-Saga Tomaszewska, rzeźbiarka, malarka, ceramik oraz Judyta Julia Wodnicka (Białkowska), malarka (organizatorki wystaw), Magdalena Bajtlik, malarka (pomysłodawczyni nazwy dla Grupy „Złota Linia” i organizatorka wystaw oraz zabaw edukacyjnych dla dzieci), a także poetka Edyta Ślęczka Poskrobko i grafik Artur Kardamasz Młodszy. Takie to były początki, które po stokroć procentują.

Także tegoroczna MAJÓWKA w przepięknym Goszczu k. Wrocławia pomnoży wzruszenia wszystkich zwiędzających, a twórcom doda skrzydeł.



Fragment wystawy w Ostrawie - 2015 r.



I Majówka Artystyczna. Mszana Dolna - maj 2009 r.

Spotkania i wystawy „Złotej Linii” w kolejnych latach:

Rok 2009

- I Majówka Artystyczna w Mszanie Dolnej – maj.
- Wystawa w Limanowej (finisaż) – lipiec.

Rok 2010

- Wystawa w Poznaniu w Klubie Seniora – kwiecień.
- II Majówka Artystyczna w Jarosławiu – maj.
- Wystawa w Tarnowskich Górach (finisaż) – lipiec.
- Wernisaż w Stargardzie Szczecińskim – listopad.
- Wystawa; podsumowanie roku wystawienniczego w CKiP w Jarosławiu – grudzień.

Rok 2011

- III Majówka Artystyczna w Szczecinie – maj.
- Wystawa „Złotej Linii” w Sierakowie – czerwiec.

Rok 2012

- IV Majówka Artystyczna w Warszawie – maj.
- Wystawa „Sacrum” w Nowym Wiśniczu – wrzesień.

Rok 2013

- Wystawa „Sacrum” w Krakowie (finisaż) – styczeń.
- V Majówka Artystyczna w Radzynie Podlaskim – maj.
- Wystawa jesienna’13 w Warszawie – wrzesień.

Rok 2014

- VI Majówka Artystyczna w Niedzicy – maj.
- Wystawa w kawiarni „Cynamon” w Tarnowskich Górach – czerwiec.

Rok 2015

- VII Majówka Artystyczna w Myślenicach – maj.
- Wystawa grupy ZŁ w Ostrawie – czerwiec-lipiec.
- Wystawa grupy ZŁ w Suchoj Beskidzkiej – lipiec.
- Wystawa jesienna’15 we Wrocławiu – NOT – listopad-grudzień.

Ks. Stanisław Musiał - człowiek dialogu

Jacenty Musiał

W dowód uznania podkreślając wybitną postać i osobowość jaką był ks. Stanisław Musiał, rodak z Łososiny Górnej, wielu wybitnych intelektualistów z całego świata, duchownych różnych wyznań, przyjaciół i znajomych, którzy byli z nim bardzo emocjonalnie związani zastanawiało się jak uczcić i uszanować tego kapłana, który za życia był uosobieniem skromności, pokory, dobroci, troski o człowieka najbardziej potrzebującego, mówiącego o potrzebie budowania kościoła dla ubogich. Był on wybitnym myślicielem, filozofem, pisarzem i felietonistą, a wielu za życia uważało go za potrafiącego przewidywać historyczne następstwa, jakie wydarzały się w świecie i w kościele. Wniósł ogromny wkład w szerzenie dialogu chrześcijańsko-żydowskiego.



Tegoroczna uroczystość odbyła się 4 marca w Urzędzie Miasta w Krakowie. Jacenty Musiał siedzi w pierwszym rzędzie, szósty od prawej.

Cztery lata po śmierci w 2008 roku została ustanowiona przez krakowski Klub Chryścijan i Żydów Przymierze, specjalna nagroda ks. Musiała, a fundatorami jej są Prezydent Miasta Krakowa oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nagroda przyznawana jest za zasługi na rzecz pojednania polsko-żydowskiego w dwóch kategoriach: za twórczość w duchu dialogu i współpracy chrześcijańsko-żydowskiej i polsko-żydowskiej i za inicjatywy społeczne na rzecz powyższego dialogu i współpracy.

Miałem zaszczyt i przyjemność wiele razy uczestniczyć w tych podniosłych uroczystościach, którym towarzyszyła szczególna atmosfera, m.in. w międzynarodowej konferencji z udziałem światowych sław, humanistów, teologów, dziennikarzy, duchownych różnych wyznań.

Podniosłe uroczystości co roku odbywały się w innym miejscu: Akademii Ignatianum, Uniwersytecie Jagiellońskim, Ratuszu Miejskim w Krakowie.

W ubiegłych latach jej laureatami byli: Jan Błoński, Miasto i Gmina Chmielnik, Joanna Tokarska-Bakir, Bogdan Białek, Bożena i Jerzy Wyrozumscy, Tomasz Pietrasiewicz i Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie, Anna Lebet-Minakowska, ks. Manfred Deselaers, Stefan Wilkanowicz, nieformalna Grupa Przyjaciół z Olkusza, prof. Stanisław Krajewski, Mirosław Skrzypczyk, a przed rokiem ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel oraz Zofia Radzikowska.

Tegoroczna uroczystość odbyła się 4 marca w Urzędzie Miasta w Krakowie. Za twórczość poświęconą historii i kulturze społeczności żydowskiej w Polsce

Ksiądz STANISŁAW MUSIAŁ – człowiek dialogu



Ks. Stanisław Musiał
• 1 maja 1938 roku, 15 marca 2004 roku

Opracowanie
Aleksander B. Skotnicki

Stradomskie Centrum Dialogu
Kraków 2016

Tytułowa strona publikacji o ks. Stanisławie Musiale.

uhonorowano prof. Jana Małeckiego. Z kolei za działalność na rzecz dialogu polsko-żydowskiego oraz za pielęgnowanie pamięci o żydowskich mieszkańcach Krakowa nagrodzono prof. Aleksandra Skotnickiego.

Prof. Jan Małecki jest historykiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego i jego byłym rektorem. Na Uniwersytecie Jagiellońskim był jednym z pionierów nauczania o historii polskich Żydów. Już w 1983 roku rozpoczął cykl otwartych wykładów na ten temat, które cieszyły się dużym zainteresowaniem. Jego badania zaowocowały wieloma publikacjami w języku polskim i angielskim. Przez wiele lat przewodniczył Komisji Historii i Kultury Żydów w Polskiej Akademii Umiejętności.

Drugi laureat – prof. Aleksander Skotnicki – jest lekarzem, kierownikiem Katedry Hematologii UJ Collegium Medicum i ordynatorem Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Aktywnie działa na rzecz współpracy chrześcijańsko-żydowskiej i pamięci o dziedzictwie kultury

żydowskiej w Krakowie. Jest twórcą i prezesem Stradomskiego Centrum Dialogu, które od 2008 roku zajmuje się opisywaniem wielopokoleniowych losów żydowskich mieszkańców Polski i Krakowa poprzez wystawy, publikacje, warsztaty czy wykłady.

Podczas uroczystości Klub Chrześcjan i Żydów „Przymierze” poinformował o przyznaniu pośmiertnie nagrody im. ks. Stanisława Musiała Joannie Brańskiej, historykowi sztuki, która przez wiele lat pracowała w Bibliotece Narodowej, gdzie zajmowała się judaikami. Zmarła 17 października 2015 roku uhonorowano za pracę na rzecz dialogu chrześcijańsko-żydowskiego i polsko-żydowskiego oraz za pielęgnowanie pamięci o polskich Żydach i ich kulturze.

Uroczystość była bardzo udana, gdyż oprócz wybitnych autorytetów, rektorów krakowskich uczelni, prezydentów miast, dziennikarzy, ludzi kultury z wielu środowisk, była również obecna siostra ks. Stanisława Musiała, Maria Sułkowska z synem Eugeniuszem oraz moja skromna osoba. Na uroczystościach był również obecny biskup Grzegorz Ryś, który od wielu lat uczestniczy w tych spotkaniach i jako historyk specjalizuje się również w problematyce dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Swoje korzenie ma również w Łososinie Górnej, gdyż jego ojciec pochodzi z parafii Łososina Górna. Biskup Ryś należy do bardzo znanych i szanowanych duchownych nie tylko krakowskiego kościoła i, jak wielu podkreśla, jest młodym i bardzo obiecującym duchownym.

Profesor Aleksander Skotnicki podkreślając w trakcie odbierania nagrody osobowość ks. Musiała, czytał min. korespondencję i zaprezentował przygotowane pod jego autorstwem specjalne wydawnictwo pt.: „Książd Stanisław Musiał – człowiek dialogu”. To bardzo bogata publikacja zawierająca dziesiątki zdjęć od najmłodszych lat ks. Musiała, jego duchowej edukacji popartej licznymi artykułami wielu teologów, ludzi świeckich ukazujących piękną ponad przeciętną postać duchownego.

W publikacji ukazał się pełnej treści artykuł z regionalnej gazety „Echo Limanowskie” z 2009 roku mojego autorstwa pt.: „Łączył kulturę chrześcijaństwa i judaizmu – ks. Stanisław Musiał”, w której opisywałem uroczystości upamiętniające postać tego kapłana w 5. rocznicę jego śmierci. Artykuł ten spotkał się



W uroczystościach uczestniczyła siostra ks. Stanisława Musiała, Maria Sułkowska z synem Eugeniuszem.

z bardzo ciepłą recenzją, gdyż jak wówczas mówił profesor Jacek Majchrowski prezydent Królewskiego Miasta Krakowa „Dzisiejsza ceremonia jest szczególną formą hołdu jaką składamy ks. Stanisławowi Musiałowi”. Artykuł jest dokładnym opisem 5 – dniowych uroczystości poświęconych ks. Musiałowi.

Ogromnie należy cieszyć się z faktu, że nie tylko intelektualne środowisko krakowskie włącza się corocznie w uroczystości, podkreślając postać tego duchownego, gdyż jest to nie tylko nasz rodak, który mając 12 lat wstąpił do Zakonu Jezuitów, przez wiele lat studiował w kraju i za granicą, spotykał się z najwybitniejszymi autorytetami w dziedzinie filozofii historii sztuki i teologii z Niemiec (mając szerokie kontakty z wybitnym teologiem prof. Ernesto Grassim), Austrii, Szwajcarii i Włoch. W roku 1965 studiował na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Zdobywał wiedzę pod kierunkiem prof. Antona Hilckmana. Za granicą przebywał prawie dwadzieścia lat. Doskonale znał kilka języków obcych. W latach 1972-1973 współpracował z Polską Sekcją Radia Watykańskiego, a w 1977 roku pracował tam na stanowisku redaktora. Był też wieloletnim publicystą „Tygodnika Powszechnego”. Od 1981 r. był członkiem redakcji, a w latach 1990-1991 zastępcą redaktora naczelnego tygodnika.

W latach 1989-1990 był dyrektorem Wydawnictwa WAM w Krakowie oraz przełożonym wspólnoty Domu Pisarzy przy Wydawnictwie. Członek Komisji Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem. Został m.in. laureatem pierwszego „Grand Press” w kategorii publicystyki (nagrada miesięcznika „Press”) za artykuł *Czarne jest czarne* (1997 r.), w którym apelował, by hierarchia Kościoła zareagowała na antysemitki wypowiedzi niektórych duchownych. Zasiadał w jury Nagrody Literackiej Nike. Pośmiertnie Wydawnictwo Literackie opublikowało *Notatnik ks. Stanisława Musiała. Jezuita w wytartym swetrze* (2009), a jezuickie Wydawnictwo WAM *Listy ks. Stanisława Musiała do Rodziny* (2010). Zmarł 5 marca 2004 r. Pogrzebową Mszę Świętą w kościele Ojców Jezuitów sprawował kardynał Franciszek Macharski metropolita krakowski. Jego pogrzeb był manifestacją, w której uczestniczyło tysiące wiernych z całego świata. Pochowany został na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Za trumną szli m.in. kardynał ks. Franciszek Macharski, setki duchownych różnych wyznań, wybitni intelektualiści oraz ludzie odrzuceni przez los, bezdomni z przytułków dla ubogich, którym pomagał do końca życia.

Pisano o nim: żarliwy w szukaniu prawdy, odważny polemista, wielki orędownik tolerancji i dialogu w stosunkach polsko-żydowskich. Cechowała go niebywała prostota, ogromne ciepło oraz empatia w stosunku do drugiego człowieka, zwłaszcza samotnego, chorego, ubożego. Pytany o to: „*Jaki będzie Kościół XXI wieku?*” odpowiadał: „*Będzie – mam nadzieję – Kościołem skierowanym w stronę ludzi, a nie w stronę doktryny, czyli walki o precyzję doktrynalną, i to w dodatku z wykluczeniami i potępieniami. Jedno wydaje się oczywiste: musi to być Kościół optymizmu i radości.*”

Krakowscy intelektualiści w czasie tegorocznych uroczystości mówili, że postać skromnego jezuita chodzącego w wytartym swetrze będą chcieli bardziej przybliżyć obecnemu papieżowi Franciszkowi, który w lipcu br. będzie gościł w Krakowie w czasie Świątowych Dni Młodzieży, że był taki jego współbrat jezuita Musiał, który miał cywilną odwagę napiętnować szerzące się zło w trosce o duchowy rozwój kościoła katolickiego.

Fotografie: arch. Jacentego Musiała

Ze wspomnień Jana Sitowskiego

Z archiwum Jana Wielka

Jan Sitowski (1846-1922) właściciel dworu i dóbr ziemskich w Mordarce, sędzia grodzki, radca Sądu Krajowego; był również kronikarzem wydarzeń, które miały miejsce na przełomie XIX i XX stulecia. Jest autorem wielu publikacji dotyczących życia ówczesnego społeczeństwa limanowskiego i starosądeckiego. Opisał dwory i dworki na Ziemi Limanowskiej. Był korespondentem ówczesnej prasy. Dokładnie zrelacjonował wydarzenia, jakie miały miejsce w Limanowej w czasie I wojny światowej w tzw. operacji łapanowsko-limanowskiej. Wspomnienia jego drukowane były w kolejnych wydaniach dziennika krakowskiego „Nowa Reforma” w 1915 r.

Prezentowaliśmy je w „Echu Limanowskim” w artykule zatytułowanym: „*Tam, gdzie grzmiły armaty – 100. rocznica bitwy pod Limanową*” (nr 242-243, listopad-grudzień z 2014 r.).

Tym razem z zasobów archiwalnych Jana Wielka wybieramy wspomnienia Jana Sitowskiego, które ujął w broszurce zatytułowanej: „*Wspomnienia limanowskie i starosądeckie*”, wydane w Mordarce w 1916 roku.



Zofia z Myszkowskich Sitowska (1860-1936)



Jan Sitowski (1846-1922)

Książka zawiera wiele ciekawych spostrzeżeń dotyczących życia obyczajowego w Limanowej, w drugiej połowie XIX stulecia, a ponieważ jest ona we współczesnych czasach białym krukiem, jak napisał Jan Wielek, warto więc zaprezentować kilka wybranych fragmentów, które wiążą się z barwnymi epizodami życia mieszczan w naszym mieście.

Pisze więc autor: *kiedy rodzice Karol i Maria z Najdrów przybyli z rodziną do Limanowej w 1858 r., zamieszkali chwilowo w małym domku Marii Krakowskiej, znajdującym się w ulicy Kolejowej. Następnie przeprowadzili się do domu Józefa Mola. W roku 1867*

matka kupiła domek z ogródkiem stojący w tej samej ulicy pod nr 91, od Szymona Hellera. Ponieważ domek był stary i groził upadkiem, rozebrano go, a na jego miejscu wystawiono nowy dom drewniany, który budował go Walenty Leśniak, cieśla ze Sowlin. W tym domu pomarli moi rodzice: matka 28 lutego 1885 r., a ojciec 7 października 1887 r. Z uwagi, że w tym domu spędziłem najprzyjemniejsze, a także i najboleśniejsze chwile mojego życia, nie chciałem się z nim rozstać, lecz zatrzymałem go jako drogą pamiątkę po moich rodzicach. Nie mieszkając w Limanowej, byłem zmuszony dom puszczać w najem różnym osobom. Ze względu na kłopoty

i nieprzyjemności z najemcami po pewnym czasie musiałem z bólem serca dom sprzedać – co też w roku 1903 uczyniłem.

W czasie gdy Sitowscy przybyli do Limanowej, istniał już w miasteczku urząd powiatowy, zwany z niemiecka „*Bezirksamtem*”, który mieścił się w kamienicy piętrowej, stojącej w narożniku rynku i ul. Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Przełożonym był *Józef Wicherek*, a po nim *Wacław Babor*. Po Baborze objął urząd prawnik *Szczepański*. Po *Szczepańskim* nastąpił *Walenty Jaworski* (1865 r.). Po oddzieleniu administracji od sądownictwa, zamianowano *Jaworskiego* starostą, *Malzera* zaś sędzią powiatowym w Limanowej. Po *Melzerze* przybył na stanowisko sędziego powiatowego *dr Otto Koppel*. Tak o nim pisze Sitowski: *Średniego wzrostu, typ męskiej piękności, nosił ładną brodę i ubierał się podług ostatniej mody; prawnik zdolny; z podwładnymi urzędnikami obchodził się z wielkim taktem i z życzliwością. Służyłem pod *dr Kopplem* w charakterze auskultanta sądowego dwa lata, a to razem z adiunktami sądowymi: *Rudolfem Jaroszem* i *Karolem Górą*. Te dwa lata służby były dla mnie najprzyjemniejsze – nigdy i nigdzie nie było mi tak dobrze – wyznaje w opowiadaniu sędzia Jan Sitowski.*

Przez długie urzędowanie *Jaworski* zjednał sobie szacunek i popularność mieszkańców powiatu limanowskiego. Prawą ręką *Jaworskiego* był *Macharski*, który sprawował urząd sekretarza starostwa powiatowego. Przybył do Limanowej ze *Skrzydlniej*, gdy tamtejszy urząd powiatowy zniesiono (1862 r.).

Najbardziej charakterystyczną postacią w urzędzie powiatowym był jednak woźny *Błażej Szczypta*, który wślawił się obroną miasteczka przed chłopską rabacją w 1846 r. Za czyn ten miasto uhonorowało go złotym medalem pamiątkowym. W owych czasach – czytamy we wspomnieniach Sitowskiego – *stosowano plagi cielesne za drobne przekroczenia. Zwykle Szczypta przeprowadzał egzekucje. Gdy jakaś dziewczyna miała dostać plagi, przemawiał do niej Szczypta słowami – niech panna przyniesie ławkę ze sieni na podwórze! – gdy się to stało rzekł Szczypta: legaj*



Dworek Sitowskich w Trzemeźni. [Fot. z książki S. Sitowski „Rodem z Ziemi Sądeckiej”]



Dwór Sitowskich w Mordarce. Przed dworem Maria Sitowska (Dziewolska) z dziećmi.

panna zaraz, nie mam czasu, muszę iść po forszań do Mordarki. Gdy się na ławkę położyła, odezwał się znowu Szczypa – niech panna podniesie spódnicę. Gdy się temu stało wezwaniu zadość, zaaplikował jej Szczypa przepisaną ilość plag. Po czym mówił: niech panna odniesie ławkę do sieni.

Gdy Szczypa umarł, pochowano go z honorami, w mowie pogrzebowej podnoszono jego zasługi, przy spuszczeniu trumny do grobu, wystrzelono kilka razy z moździerzy.

Po jego śmierci żona Szczypy, Maria zanosła medal do urzędu parafialnego z prośbą, by go umieszczono we wielkim ołtarzu – prośbie stało się zadość – medal wiszący na wstążce przybito u stóp

cudownego obrazu Matki Boskiej w głównym ołtarzu.

W owym czasie proboszczem i dziekanem w Limanowej był ks. kanonik Jan Warpecha, zaś wikarym ks. Jakub Jordan Rozwadowski, brat Eugeniusza kupca w Limanowej.

W 1858 r. poborcą podatkowym był niejaki Ertel zwany popularnie „Pechvoglem”, z powodu wielkiego pecha w kartach, których był namiętnym wielbicielem. Po nim nastął Kubliński. Notariuszem był Franciszek Gross. Ponieważ w Limanowej nie było wówczas adwokatów, Gross zastępował strony w procesach.

Powinności lekarza rządowego w Limanowej pełnił Saganowski. Dr

Leon Żuławski był praktykującym lekarzem, ponieważ miał sparaliżowane obydwie nogi, przeto do pacjentów wozono go na specjalnym fotelu. Posiadał ładny dom pod nr 15 w rynku, z dużym ogrodem. Realność tę sprzedał jego syn dr Karol Żuławski.

Poczmistrzem był Stanisław Peszko, który chował 12 par koni. Wtedy kursowały dyliżanse do Nowego Sącza i Żegociny tak zwane „Eilwageny”, zaprzężone w dwie pary koni. Listonoszem był Jakub Kubicki, który: *jakkolwiek nie umiał ani czytać ani pisać i listy wkładał między palce obu rąk, miał tak dobrą pamięć, że rzadko się trafiały pomyłki w doręczaniu listów adresatom.*

Jedyną aptekę w okolicy prowadził Antoni Müller, mieściła się ona w budynku w pobliżu kościoła. Tak o niej wspomina Jan Sitowski: *Jego nader miła małżonka Karolina umiała doskonale przyrządzać lekarstwa. Ile razy ktoś przyszedł do lekarni w dzień powszedni, czy święteczny, o której bądź porze dnia, zawsze zastał w niej albo Müllera, albo jego żonę. Müllerowie mieli kilka córek, toteż od czasu do czasu urządzali zabawy. Nie raz tańczyłem do białego dnia u Müllerów. Z córek najładniejszą była Bronia, z którą się ożenił Teodor Głębocki.*

W Limanowej była wówczas szkoła trywialna, uczył w niej dzieci Stanisław Chudzicki z pomocą organisty Michała Kapturkiewicza. Burmistrzem był Jakub Baczyński, szwagier przedniego burmistrza Walentego Chylińskiego; po nim następowali kolejno: Antoni Baczyński, Józef Mamak ze sądu, Stanisław Peszko.

Rabinem był Nahtan Goldberg. Wymienia też Sitowski limanowskich kupców: sklep korzenny prowadzili bracia Apolinary i Eugeniusz Rozwadowscy – u tego drugiego praktykował Michał Macharski, późniejszy właściciel słynnego domu handlowego pod szyldem „Antoni Hawelka”, którego pozostałością jest istniejąca do dzisiaj słynna krakowska restauracja. Duże sklepy prowadzili również: Faliszewski, Piotrowski, Haskel Blaugrund (artykuły korzenne i skład wina), Szymon Hochberg (artykuły bławatne), Schaja Zeller (żelazo) i Juda Goldfinger (wyszynk wina).

W tymże czasie sprowadziło się do Limanowej wiele rodzin ziemiańskich, które podupadłe po reformie uwłaszczeniowej rozparcelowały swoje majątki pomiędzy Żydów i miejscowych chłopów i zakupiły, względnie wydzierżawiły, domy



Rodzina Sitowskich przed dworem w Mordarce. Stoi Eustachy Sitowski. Siedzą od prawej: Lucyna Sitowska (żona Eustachego), Jan Sitowski, Zofia z Myszkowskich (właściciele dworu). Siedzą Stanisław i Helena, dzieci Marii z Sitowskich Dziewolskiej.

► w mieście. Osiadł więc w Limanowej **Stanisław Chmielewski** – dzierżawca Rybia, **Józef Kiszewski** z Kisielówki, **Ignacy Marynowski** z Łukowicy (wslawił się założeniem funduszu stypendialnego dla ubogich uczniów, zmarł w 1856 r.), **Rudolf Miłkowski**, były właściciel folwarku w Słopnicach, zesłaniec syberyjski po powstaniu styczniowym. Zamieszkał również w Limanowej **Henryk Słowikowski** – współwłaściciel Tymbarku i Słopnic Królewskich, **Tomaski** z Siekierzyny i **Józefa Ledniowska** ze Skrzydłnej.

Do najbogatszych mieszczan limanowskich należeli wówczas: **Wawrzyniec Bieda** – rzeźnik i masarz, **Józef Brzezina** – z zawodu piekarz, **Walenty Chyliński**, **Wincenty Czeczótka** (kuśnierz), **Marcin Dąbrowski** – zwany „Omastą”, **Józef Mamak**, który handlował skórami i **Józef Wójcik**, zwany „Bogatym”, gdyż blisko połowa Limanowej do niego należała. Jego syn, Stanisław, zginął jako ochotnik podczas rewolucji węgierskiej w 1848 r.

W tych latach w Limanowej mieszkało stosunkowo niewielu Żydów. Najczęściej

zajmowali się oni handlem. **Abraham Langer** był właścicielem murowanej karczmy przy ulicy Sądeckiej, zaś **Benjamin Langer**, syn Abrahama, zawiadywał karczmą, która była naprzeciwko kościoła, **Salomon Wolf** i **Izrael Schneid** – byli rzeźnikami, **Sendor Samuel** pełnił rolę cyrulika i miał kolekturę loteryjną i kilku jeszcze innych.

Przypomina również Sitowski dziewięciu uczniów uczęszczających z Limanowej do gimnazjum w Nowym Sączu, byli to: **Jan Baczyński**, **Alfred Brzeski**, **Jan Czeczótka**, **Maks Kohn**, **Henryk Machnicki**, **Franciszek Mamak**, **Jan Sitowski** (autor wspomnień), **Stanisław Wójcik**, **Karol Żuławski**. W opowiadaniach Sitowskiego czytamy: *młodzież limanowska i z gmin sąsiednich na małe wakacje i zapusty pieszo przybywała z Nowego Sącza do domu rodzicielskiego. W czasie wakacji letnich grywali w teatrze amatorskim. Atrakcją była gra w pliszki na pastwisku pod cmentarzem w obecności rodziców, którzy siedząc na pagórku przypatrywali się grze. Grywano również w kręgle u Rozwadowskiego, który miał w owe czasy sklep w tym domu, gdzie jest obecnie rada powiatowa, a następnie na Chmielniku w Mordarce. Inteligencja limanowska grywała tam w kręgle nieraz do nocy przy latarni.*

Opisuje również inne rozrywki wakacyjne ówczesnej młodzieży. Jako zamilowany w rybołówstwie i myślistwie, łowił ryby z **Józefem Zielińskim** na saki w rzece sowlińskiej, czasem w Łososinie i Tymbarku. W czasie wakacji polował w Sowlinach i Starej Wsi na kuropatwy i przepiórki. W zimie zaś polował na zające z tatą, wujem **Karolem Najdrem** i **Karolem Żuławskim**, najczęściej zaś z **Janem Jedlińskim**. W czasie wakacji, gdy nastąpiły wielkie upały, jeździli rodzice z większym towarzystwem do Łososiny Górnej, aby się tam w rzece dość głębokiej wykąpać. Po kąpeli towarzystwo szło do plebanii na dobrą kawę. Pewnego razu zdarzyło się, że w czasie kąpeli zerwała się nagle burza i spadł ulewny deszcz. Kąpiący zaledwie zdążyli najbezpieczniejszą odzież na siebie włożyć, resztę zaś zabrać w ręce i boso biegli do plebanii. Proboszcz ks. **Maciej Browarny**, przyglądając się temu przez z okna, boki zrywał ze śmiechu.

Mordarka należała do dóbr szlacheckich. W roku 1804 była własnością **Wojciecha Tetmajera**, ten sprzedał ją w 1818 roku **Wincentemu Dunikowskiemu**,



Limanowski rynek z czasów Jana Sitowskiego (koniec XIX wieku). W budynku z czerwonej cegły (pośrodku) znajdował się wyszynk wina rodziny Goldfingerów.

od którego 1822 r. nabyli ją małżonkowie Józef i Ewa Wielogłowscy. Po śmierci tychże odziedziczyli tę majątność ich potomkowie, od których kupili cały majątek małżonkowie Matuzińscy. Ci następnie w 1894 r. sprzedali majątek i dwór małżonkom Wojtowiczom, od których w roku 1902 kupiła Mordarce Zofia z Myszkowskich, żona Jana Sitowskiego.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”



Nagrobek rodziny Sitowskich na cmentarzu parafialnym w Limanowej. [Fot. Stanisław Ocieпка]

Jan Sitowski, syn Marii z Najdrów i Karola Sitowskich, urodził się 4 maja 1846 roku w Rożnowie pod Wieliczką, a do 12 roku życia wychowywał się w rodzinnym dworze na wzgórzu zwanym Sitowszczyzną w Trzemeśni koło Myślenic.

W 1858 r. rodzice Jana na stałe przenieśli się do Limanowej, gdzie zbudowali dom przy ulicy Kolejowej 91.

Jan Sitowski w latach 1863-64 uczęszczał do V i VI klasy Gimnazjum w Nowym Sączu i tam też uczył się gry na skrzypcach. W tym czasie mieszkał na stacji u Mecnarowskich w Nowym Sączu. Następnie, od roku 1865, przebywał w Krakowie, gdzie ukończył gimnazjum św. Anny i wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Od roku 1870 podjął pracę jako auskultant w sądach Nowego Sącza i Limanowej. W roku 1874 został samodzielnym sędzią powiatowym w Białej. W rok później mianowano go komisarzem hipotecznym do zaprowadzenia ksiąg gruntowych 47 gmin. Zajął to Janowi Sitowskiemu 7 lat.

W roku 1877 poślubił Zofię Myszkowską, córkę Jana i Walerii ze Świdnika koło Łukowicy.

W latach 1886-1889 był sędzią w Mielcu. Następnie przez 8 lat zajmował stanowisko szafarza sprawiedliwości w Krościenku nad Dunajcem, po czym wrócił do Nowego Sącza jako radca sądowy i tu, gdzie rozpoczął karierę sędziowską w roku 1903, ją zakończył.

Jego ulubionym zainteresowaniem było rybołówstwo i myślistwo.

Od roku 1902 na stałe zamieszkał w Mordarce – Limanowej w przytulnym dworze.

W czasie I wojny światowej, gdy pociągi z wojskiem jechały na front przez ogród w Mordarce zorganizował podawanie paczek żywnościowych i papierosów.

Po przejściu na emeryturę Jan Sitowski wolne chwile wypełniał pracą literacką. Jego twórczość najczęściej wynikała z osobistych przeżyć. Pisząc, odosobniał się od rodziny na parę godzin dziennie, zamykając się w małej izbie, tzw. „kuczy”, do której nikt nie miał wstępu. Miał szeroki krąg znajomych, wielce interesował się wszelkimi przejawami życia intelektualnego, społecznego, rodzinnego.

Zmarł 26 stycznia 1922 roku. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Malarska pasja Marii Kazimierczak

Stanisław Ociepka



Maria Kazimierczak w ogrodzie.

Bujany fotel, ciepłe kapcie i serial w telewizji to wizerunek, jakiego zapewne nie można byłoby odnieść do Marii Kazimierczak (Krasuń), osoby dynamicznej, która wciąż dzieliła się swoimi pasjami, a miała ich sporo i robiła wiele pożytecznego dla innych i dla siebie. Była wspaniałym mecenasem dziejów i kultury Limanowej. Odeszła niespodziewanie 21 sierpnia 2015 r., pozostawiając po sobie trwałe ślady.

Z wielkim pietyzmem odnosiła się do tradycji rodu Jońców. Dbała o to, aby pamięć o wuju, ks. płk. Józefie Jońcu kapelanie 3. Dywizji Strzelców Karpaccich, była wciąż żywa. Dlatego przekazała do Muzeum Parafialnego w Limanowej cenne pamiątki związane z Jego żołnierskim szlakiem od Tobruku po Monte Cassino.

„Złoty wiek” to piękny etap w życiu człowieka, to czas odpoczynku, zadumy nad dotychczasowym życiem. Bywa i tak, że dopiero po przejściu na emeryturę rozwija się jakiś twórczy talent, który dotychczas nie mógł się ujawnić przygnieciony ciężarem obowiązków zawodowych czy rodzinnych. Tak było w przypadku p. Marii, w której zdolności plastyczne „pozostawały w ukryciu”. Choć już w pracy zawodowej

*„Życie to wspaniała pochodnia,
którą nam pozwolono trzymać przez chwilę
i należy uczynić wszystko,
by świeciła jak najjaśniej,
nim oddamy ją naszym następcom.”*

George Bernard Shaw

w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie, gdzie pracowała przez 30 lat, ujawniły się Jej zdolności. Tak o nich wspominały przyjaciółki z pracy: „Brak podręczników, pomocy dydaktycznych wymagały od nauczycieli wielkiego zaangażowania i wykonania ich we własnym zakresie. Maria, uzdolniona plastycznie, pięknie rysowała i malowała, wykonywała własnoręcznie wiele ilustracji i obrazów tematycznych, stosy etykietek i ciekawych pomocy naukowych”.

Kiedy powróciła do rodzinnej Limanowej, aby zająć się matką Józefą, wolny czas wypełniała malowaniem obrazów. Była to jedna z wielu pasji, którą mogła zacząć realizować, będąc na emeryturze. Być może twórczość Jej, jak mówił filozof, była swoistym „eliksirem młodości duchowej”, która przywraca wiarę w sens życia i podnosi wartość okresu „złotego wieku”.

Przeważnie malowała olejem, są również w rodzinnych zbiorach i akwarele.

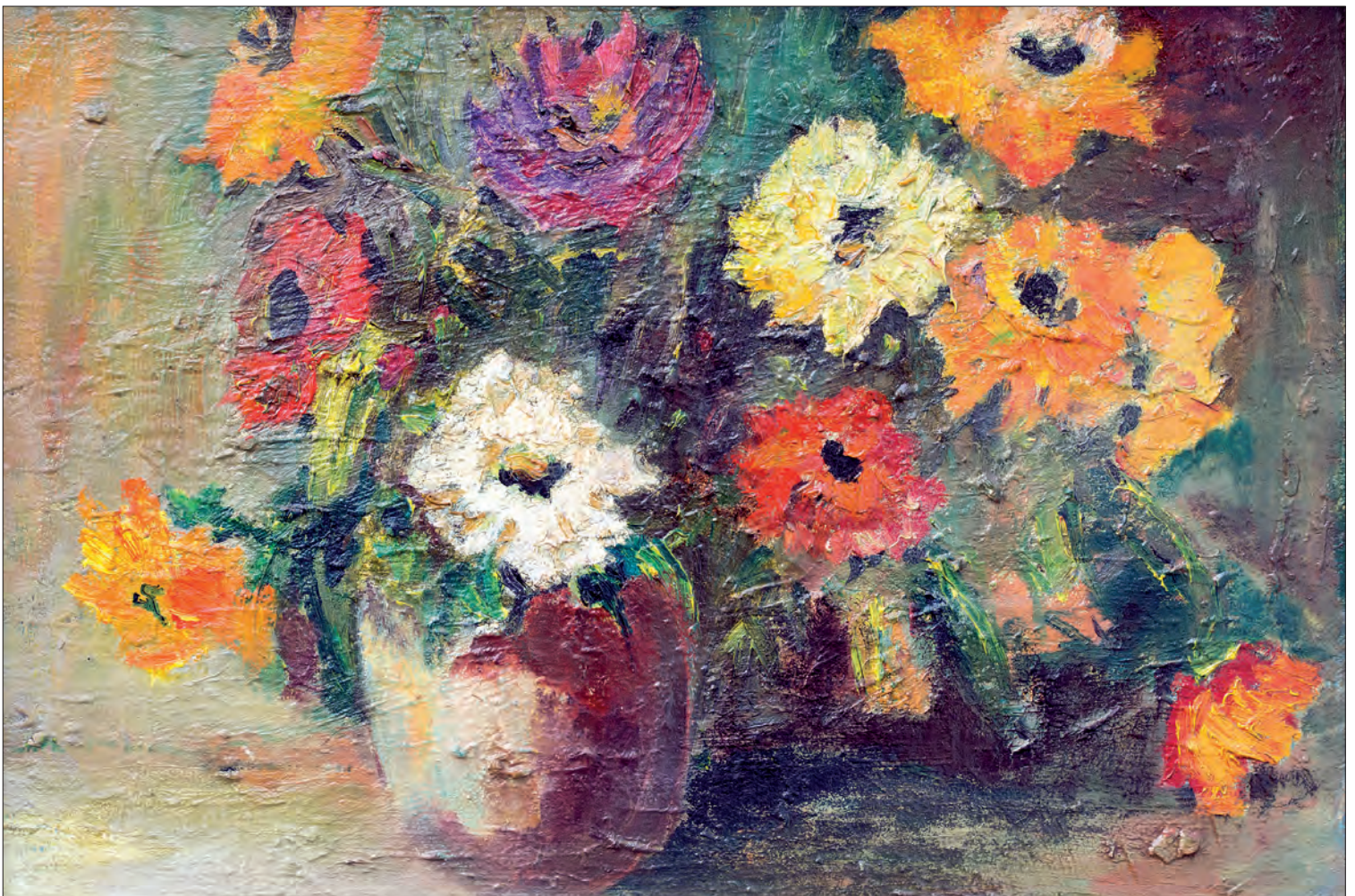
Z obrazów Jej emanuje ciepło i pogodny nastrój, są to: pejzaże, portrety, martwa natura, ale najczęściej kwiaty: słoneczniki, tulipany, maki, róże, malwy, dalie. Najbardziej ulubionym tematem p. Marii były wiele razy malowane słoneczniki. W tych obrazach można zauważyć niezwykłą precyzję i kunszt malarski. Jeden z obrazów przedstawia dziesięć kwiatów w glinianym wazonie. Z obrazu tego bije przyjemne światło, przeważają barwy ciepłe. Szczególnie dużo jest odcieni żółci.

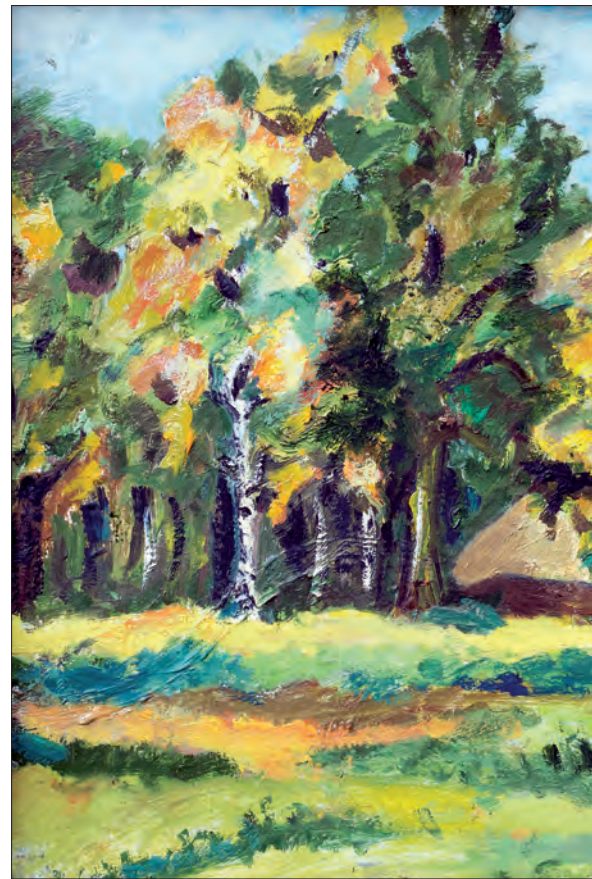
Ten kalejdoskop ukwieconych, uwiecznionych na płótnie inspiracji, wprowadza w miły nastrój i słodki zapach natury.

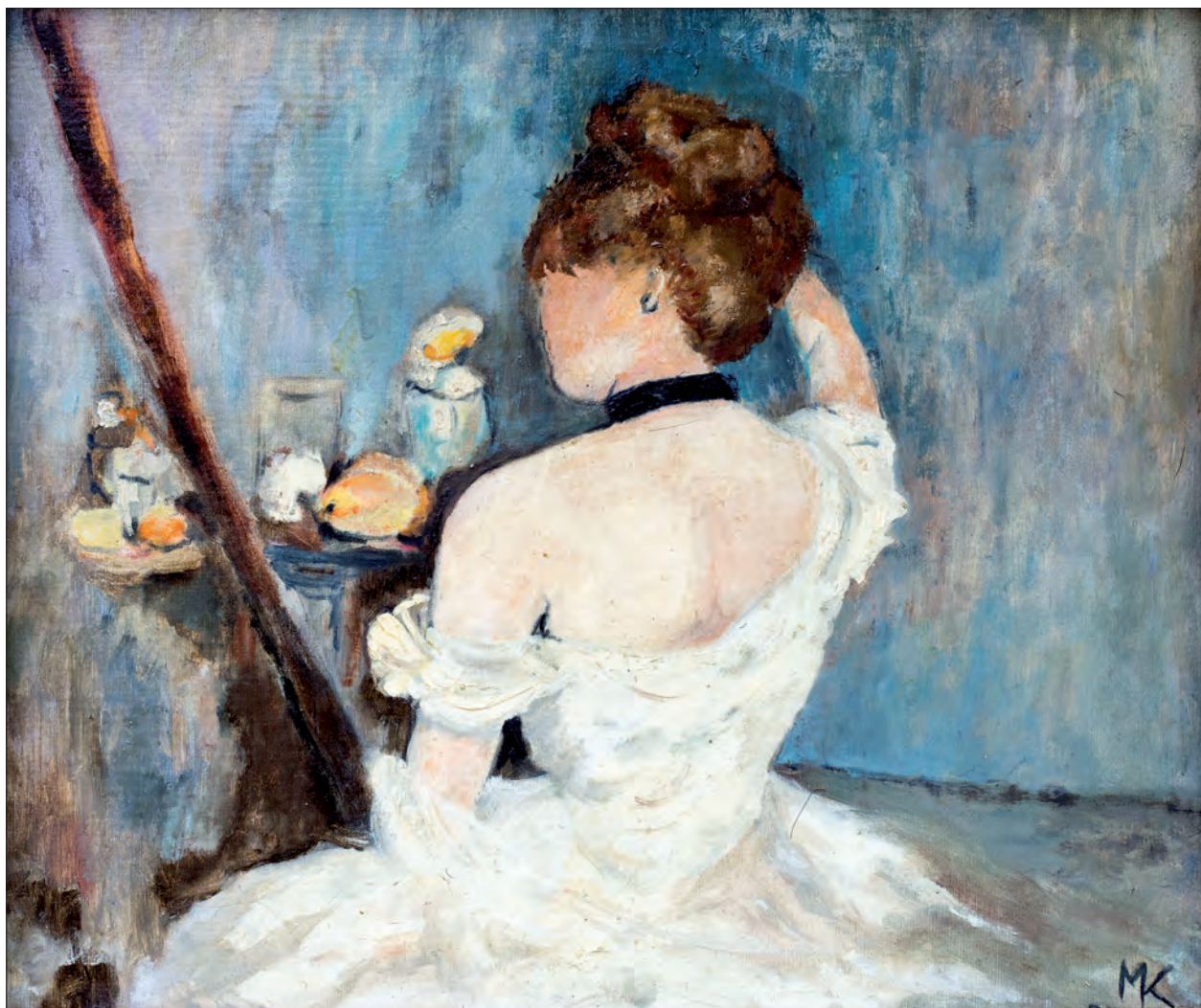
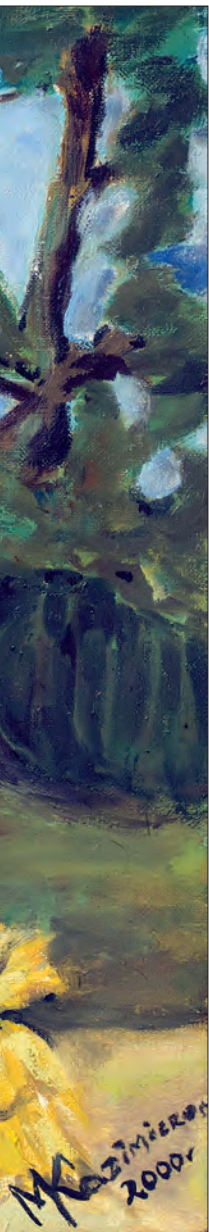
Kiedy jeszcze za życia proponowałem p. Marii, aby pokazać Jej obrazy w „Echu Limanowskim” to zdecydowanie z humorem odpowiadała: „*E tam, ma pan tyle pięknych do pokazania obrazów limanowskich malarzy: Franciszka Mrażka, Tadeusza Ociepki, Maksymiliana Brożka co tam moje*”.

Dziś do dorobku uznanych limanowskich artystów malarzy dodajemy nieznaną twórczość malarską Marii Kazimierczak (Krasuń).

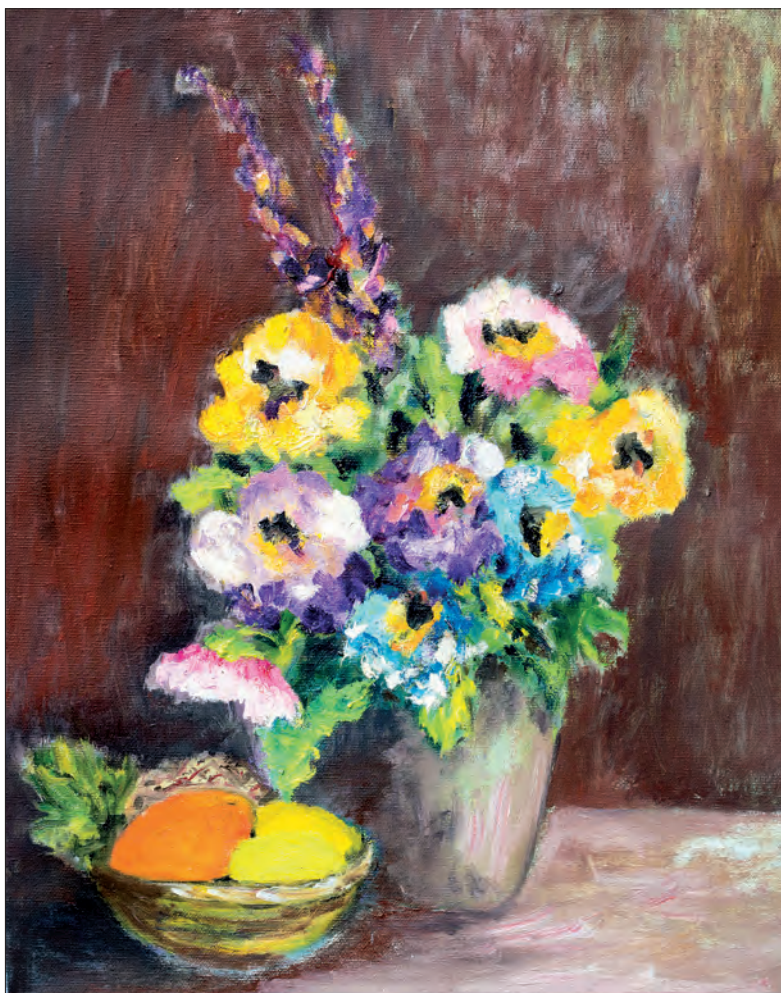
**Wyrażam podziękowanie córce p. Marii Kazimierczak
- Hannie - za umożliwienie wykonania reprodukcji obrazów.**







**Malarska pasja
Marii Kazimierzczak**





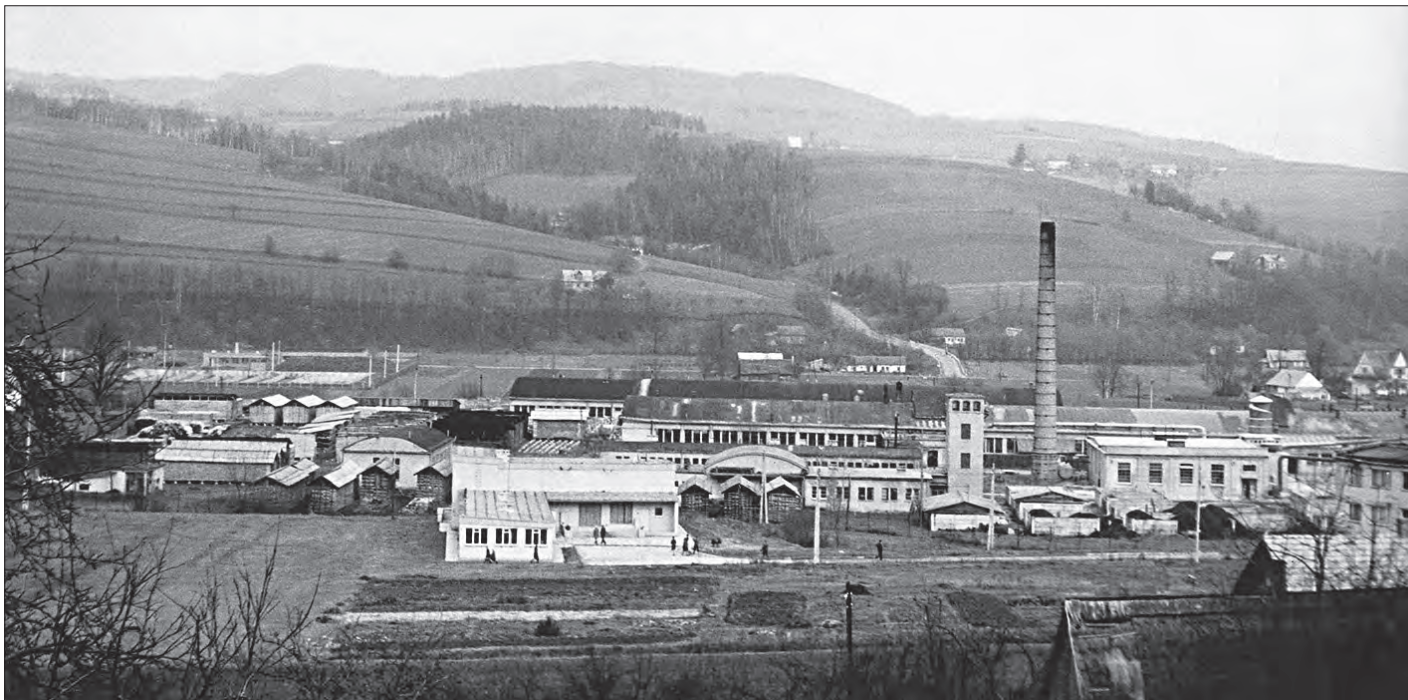
ELEKTRICAL®

**Innowacyjność
Bezpieczeństwo
Jakość**

„„ Już 20 lat

www.electrical.pl tel. 18 33 70 485

Limanowska „bednarnia”



Widok ogólny w kierunku „bednarnii” w Lososinie Górnej - Limanowej.

W archiwach Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie, można odnaleźć informację, iż limanowska fabryka beczek w swojej długiej historii istnienia miała następujące nazwy: *Zakłady Przemysłowe Fischera, Podhalańskie Zakłady Przemysłowe Juliana Fischera, Państwowa Fabryka Beczek w Limanowej, Krakowsko - Śląskie Zakłady Przemysłu Drzewnego, Zakład nr 15 w Limanowej, Łososińskie Zakłady Przemysłu Drzewnego w Łososinie Górnej (1951 r.), Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego w Krakowie - Zakład Przemysłu Drzewnego w Łososinie Górnej, Łososińskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego w Łososinie Górnej (1975 r.)*. Ostateczna likwidacja zakładu nastąpiła w 1992 r.

Jaka jest historia tego zakładu?

W początkach XX wieku przemysłowcy francuscy budują w Sowlinach – Limanowej dużą jak na ówczesne czasy rafinerię ropy. Jako jeden z wydziałów zaczęła działać beczkarnia, zwana popularnie bednarnią. Produkowano tu beczki dębowe, służące do wysyłki benzyny i ropy oraz beczki z drewna iglastego, ►



Hala produkcyjna zakładu Juliana Fischera w Sowlinach, produkcja drewnianych beczek.



Podhalańskie Zakłady Przemysłowe Juliana Fischera. Lata trzydzieste XX wieku.

► służące jako opakowania na wazelinę i wszelkiego rodzaju smary.

W 1936 roku rafineria nafty zamknęła swoją produkcję. Bednarnię dzierżawił od francuskich przedsiębiorców Julian Fischer, który do końca II wojny światowej produkował tutaj beczki dębowe i wierzbowe oraz z drewna iglastego, zbywane na terenie całego kraju.

By wykorzystać odpady drzewne, uruchomiono również produkcję drewnianych zabawek, w tzw. „zabawkarni”. Projektowaniem zabawek drewnianych zajmował się Maksymilian Brożek, artysta malarz, późniejszy nauczyciel rysunków w Liceum limanowskim. Podczas okupacji hitlerowskiej pracę w „zabawkarni” otrzymała limanowska młodzież. Praca ta ratowała czternastolatków przed wywózką na roboty do Niemiec.

Dopiero po II wojnie światowej w 1947 roku rozpoczęto produkcję beczek na skalę przemysłową, tworząc zakład pod nazwą „Państwowa Fabryka Beczek w Limanowej”.

Do czerwca 1948 r. zakład ten znajdował się pod wspólną dyrekcją Zjednoczonych Rafinerii Nafty, która kierowała również bazą paliw płynnych, urządzonej na terenie byłej rafinerii nafty w Sowlinach. Dyrektorami bazy i bednarni w tym czasie byli: inż. Józef Florian, długoletni pracownik rafinerii oraz inż. Jerzy Zachorowski.

Oryginalną ciekawostką dotyczącą bazy paliw i bednarni był fakt, iż w odpowiednio przygotowanych pomieszczeniach (stajnia, wozownia) przy rafinerii hodowano konie. Używano ich do różnych zadań m. in. do: wożenia poczty z Limanowej, wyjazdów urzędników,

dotarczania materiałów budowlanych, rozwożenia po całej kolonii węgla i drewna. Odpowiednia para koni z solidną bryczką przeznaczona była wyłącznie do wożenia inż. Józefa Floriana na codzienne spacery, a w niedzielę do kościoła w Limanowej.

1 lipca 1948 decyzją Ministra Przemysłu i Handlu nastąpiło oddzielenie zakładu drzewnego od bazy paliw płynnych – nowy zakład nosił wówczas nazwę „Krakowsko – Śląskie Zakłady Przemysłu Drzewnego – Zakład nr 15 w Limanowej” i do końca 1948 r. zatrudniał 77 robotników fizycznych, 10 umysłowych. Wyprodukowano wówczas 404 szt. beczek z drewna liściastego i ponad 16 tysięcy z iglastego.

Zapotrzebowanie na beczki drewniane było wtedy w kraju bardzo duże, toteż

Ministerstwo Przemysłu Lekkiego po staraniach władz polityczno-administracyjnych byłego powiatu limanowskiego i dyrekcji zakładu, wydało decyzję o budowie nowego zakładu. Na jego lokalizację wybrano Łososinę Górną, która leżała na szlaku kolejowym, co miało istotne znaczenie przy transporcie drzewa. Budowa łącznie z opracowaniem koniecznej dokumentacji trwała tylko trzy lata.

W 1951 roku (65 lat temu) zaczął funkcjonować zakład pod nazwą: Łososińskie Zakłady Przemysłu Drzewnego. Docelowo zakład ten miał produkować 450 tysięcy beczek rocznie przy zatrudnieniu 400 pracowników. Beczki wykonywano z tarcicy, a nie jak dawniej z zaokrąglonej klepki bednarskiej.



Smarownia w rafinerii nafty w Sowlinach.



Pracownicy Krakowsko-Śląskich Zakładów Przemysłu Drzewnego. Zakład nr 15 w Limanowej przygotowują się do przemarszu w pochodzie 1 Maja - koniec lat czterdziestych XX wieku.

W latach 1954-55 zapotrzebowanie na beczki drewniane gwałtownie zmalało – części załogi groziła redukcja. By temu zapobiec, rozpoczęto produkcję skrzyń z tarcicy. Zaczęto również czynić starania o zmianę profilu produkcji, w kierunku meblarstwa. Decyzja władz nadrzędnych była jednak negatywna. Podjęto więc w 1956 r. produkcję skrzyń z łuszczyki drewnianej, służących przede wszystkim do transportu owoców. Zakład stał się wówczas jednym z nielicznych w świecie prowadzącym ten asortyment produkcji (jedynym w krajach socjalistycznych).

W 1963 r. uruchomiono produkcję skrzyń z płyty pilśniowej i sklejk. Rozszerzenie profilu produkcji pozwoliło na ustabilizowanie się załogi, która w tym czasie liczyła 850 osób.

Przy tak dużym zakładzie produkcyjnym kwitło życie kulturalne. W roku 1968 został wybudowany Dom Kultury, był wówczas największym obiektem tego typu na Limanowszczyźnie. Mieściły się w nim: sala kinowa, biblioteka, świetlica i klubokawiarnia. Działalność prowadziły: orkiestra dęta, zespół instrumentalno-wokalny, grupa teatralna;

organizowano zajęcia plastyczne, muzyczne i sportowe, wystawy, odczyty, wieczorki taneczne i spotkania z pisarzami oraz artystami. O tej działalności pisała w „Echu Limanowskim” Ilona Machowicz – Jurowicz w artykule: „Inne czasy, inni ludzie...” („EL”, nr 250-251, lipiec-sierpień 2015 r.) oraz w artykule: „(...) Limanowskie wspomnienia epoki minionej” („EL”, nr 252 – 253, wrzesień – październik 2015 r.) – była to relacja z wystawy zatytułowanej „PRL mieszka w nas? – kultura czasu wolnego”, zorganizowanej w Muzeum PRL-u w Nowej Hucie, której kuratorem była Maria Wąchała – Skindzier – adiunkt Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Okres przemian ustrojowych, na przełomie lat 80. i 90. XX wieku okazał się dla Łososińskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego trudnym. Przedsiębiorstwo postawiono w stan likwidacji. Nagle utraciło pracę kilkaset osób, majątek został wyceniony i zlicytowany, a w roku 1992 zakład przestał istnieć.

Obecnie na terenie należącym kiedyś do zakładu, w byłych halach przemysłowych (po ich odrestaurowaniu) mieści się salon meblowy.

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”



Państwowa Fabryka Beczek w Sowlinach - Limanowej (przy rafinerii nafty). Koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Pierwszy amatorski teatr w Limanowej – ze wspomnień Józefa Marsa

Teatr jest tym, co wydarza się między aktorem i widzem. Jego początków należy szukać w starożytnej Grecji. Przełomowa dla teatru była wielka reforma w XIX wieku. Wówczas narodził się teatr realistyczny i naturalistyczny.

W Limanowej, galicyjskim miasteczku, pierwszy teatr powstał w drugiej połowie XIX stulecia. W artykule zatytułowanym: „Teatry amatorskie w Limanowej”, który ukazał się w „Almanachu Sądeckim” (R. IX Nr 3) w 2000 roku, Wincenty Gawron we wstępie tego artykułu napisał: *W Limanowej w roku 1869 staraniem Józefa Marsa – właściciela dworu w Starej Wsi, sekretarza powiatowego Karola Stahlbergera oraz naczelnika sądu Antoniego Szczepańskiego zorganizowany został pierwszy teatr amatorski, który stawiał sobie ambitny cel regularnego dawania przedstawień. Planowano, że co miesiąc wystąpi z nową premierą. Przedstawienia urządzał Komitet. Początkowo dawano je co dwa tygodnie, a później co tydzień. W gazecie z entuzjazmem pisano, iż bierze w nich udział cała okolica, widownia jest pełna, na scenie zgodnie występują obok siebie „panie ze wsi” z „paniami z miasta”, wszelka zaś „koteryjność zniszczona w zarodku”. W 1870 roku odbyło się aż 10 przedstawień. Po ich zakończeniu w sali balowej odbywały się zabawy. Z każdego przedstawienia dochód wynosił 100 zł. Przeznaczano go na zapomogi dla kształcenia młodych rzemieślników, którzy wyrażą chęć powrotu do Limanowej po ukończeniu nauk (...).*



Członkowie Teatru i Chóru Włościańskiego w Limanowej w 1913 roku po odegraniu sztuki „Zrękowiny u Druzgały”. Od lewej: Franciszek Biedroń „spod dworu w Mordarce”, Stefania Dąbrowska, Jan Biernat ze Starej Wsi, Katarzyna Gawron, Walenty Kądziołka z Mordarki, Andrzej Postrożny, Rozalia Gawron.

O powstaniu pierwszego teatru w Limanowej w swoich pamiętnikach pisze jego główny inicjator, Józef Mars: *Aby urządzić Towarzystwo Teatru Amatorskiego zaprosiłem młodzież tak męską jak żeńską z okolicy powiatu limanowskiego*

i urzędników, i obywateli inteligencji Limanowej oraz Ojców i Matki i tym zaproponowałem, aby zawiązali Towarzystwo. A moim i Szczepańskiego staraniem będzie urządzić odpowiedni lokal, scenę etc. Szczepański był wówczas naczelnikiem

sądowym i zastępował suspendowanego (zawieszonego w pełnieniu obowiązków – przyp. red.) starostę Józefa Wicherka. Szczepański – to człowiek bardzo uprzejmy, bardzo lubiany, wesoły, bawić się i zabawy urządzać lubiący.

Po moim, a następnie Szczepańskiego przemówieniu ułożona została lista tych, którzy chcieli brać udział w przedstawieniach, to jest aktorami i aktorkami, a tych było 21. Mnie i Szczepańskiego wybrano dyrektorami.

Po tym ja wziąłem się do urządzenia lokalu. Całe piętro dawnej gorzelnii przerobiłem na teatr amatorski i także salę, w której teraz jest scena i czasem była salą balową. Następnie znajduje się przedpokój, dalej dwa pokoje na bufet, obok kuchnia i garderoba, dalej dopiero wielka sala, bo w tej mogło się zmieścić wygodnie więcej jak 200 osób, następnie scena, a obok dwa gabinety do pomieszczenia przyborów ról i jedna do przebiegania się mężczyzn, druga kobiet.

Sprawiliśmy kurtynę, kulisy ze zmianami, w sali ławki do siedzenia, a po bokach blisko sceny łoże parterowe dla niegrających aktorów, a czasem dla jakiegoś dygnitarza przybyłego.

Całą budowę lokalu przeprowadziłem własnym kosztem, wszystkie zaś urządzenia wewnętrzne robione były z funduszu zbieranego. Początek funduszu na cel powyższy powstał w ten sposób, że daliśmy wydrukować 360 biletów po złr. jeden – z tych zrobiliśmy 30 paczek po 12 sztuk, a każdą taką otrzymał ten, co dał 10 zł reńskich – tj. 2 złr. taniej, za resztę otrzymaliśmy 280 złr. a za pojedyncze złr. 24 – razem 304 złr. tych więc używaliśmy na pierwsze koszty, a następnie zbierane za bilety wstępu osób, które powyższych nie miały.

Najprzód sztuki Fredry, Anczyca; przepisane zostały role i te dawane były aktorom i aktorkom, aby się tych na pamięć uczyły, potem odbywały się próby, najpierw w ubraniach zwyczajnych, a później odpowiednim przebraniu. Tyle



„Krakowiaci i górale” - sztuka wystawiona w latach dwudziestych w sali „Przyjaźń”. Pośrodku w stroju ludowym Józef Joniec - późniejszy kapelan 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

Śącza, Bochni, a nawet przybył dyrektor krakowskiego teatru. A po każdym przedstawieniu i spuszczeniu kurtyny klaskali w ręce i wołali brawo, i to się powtarzało. Dyrektor teatru krakowskiego przemawiając do zebranych w bufecie, wyrażał podziw, że amatorzy grający tak się popisując odgrywającymi rolami mogli.

Przez kolejne lata zaprzestano gry w tym pierwszym historycznym limanowskim amatorskim teatrze. Salę wykorzystano kolejno na siedzibę Towarzystwa Zaliczkowego (1877 r.), a następnie na siedzibę Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” (1893 r.), w którym na nowo podjęto grę sztuk o charakterze patriotycznym.

Na przestrzeni XX wieku w Limanowej pojawiały się różnego rodzaju grupy teatralne, które podejmowały pracę artystyczną i po pewnym, stosunkowo krótkim, czasie zaprzestawali działalności. ▶

różnych ról przygotowanych było i rozdanych, aby każdy dostał amator. Niektóre przybory, książki kupiliśmy, a najwięcej pożyczaliśmy nam dyrektor teatru krakowskiego. Muzykanci umówieni przyjeżdżali z Nowego Śącza albo z Królówki, a za staraniem miejscowego ks. proboszcza została zaprowadzona i wyuczona miejscowa kapela, byli w niej parobcy miejscowi. Muzykanci przyjeżdżali wozami, bo wówczas jeszcze nie było kolei żelaznych. Koszt sprowadzenia tych był duży, ale ten pokrywał się albo całą, albo w znacznej części opłatą wstępu na salę balową.

W sali były naokoło porobione ławki do siedzenia, a te były pokryte materią kolorową wełnianą, a dla orkiestry estrada, naokoło lampy oświetlające. Rozumie się, że wszystko na raz zrobić się nie dało – chociaż w tym celu robiono dużo bardzo starań. Aby to zrobić i przygotować zaradzono innymi sposobami – np. nim malarz odmalował kurtynę, w tym czasie zastąpiono tę zaimprovizowaną przez panie z kolorowych materii. Kulisy drzewkami, kwiatami obsadzone były, zamiast w teatrze ławek i na sali były zbierane i pożyczane krzesła, kanapy, sofy – co kto miał. Gdy się próby kilka razy odbyły i przyszło się do przekonania, iż sceny będą dobrze odegrane, ogłosiliśmy zaproszenia na dzień i godzinę oznaczoną.

Osób zebrano się niespodziewanie dużo. I to nie tylko z Limanowej i z miejscowych i bliskich okolic, ale i z dalszych – Nowego



Podhalański Teatr Żydowski w Limanowej. Sztuka „Porwanie Sabinek” w wykonaniu limanowskich Żydów i jednego Polaka Stanisława Kaima w sali budynku „Przyjaźń” - 1930 rok.



Jedna z limanowskich grup teatralnych. Bardzo często mężczyźni występowali w strojach ludowych noszonych w okolicach Limanowej, zaś panny w artystycznie haftowanych gorsetach. Koniec lat trzydziestych XX wieku.

Warto odnotować powstały w Limanowej roku 1910 zespół teatralny Stowarzyszenia Teatrów i Chórów Włościańskich, którego organizatorem był Walenty Gawron wraz z Walentym Sułkowskim. Sztuki grane były w sali budynku „Przyjaźń”, na ulicy Sądeckiej (dziś Kościuszki). Pojedyncze sztuki grano w latach międzywojennych w budynku „Sokoła”, który został wybudowany w 1910 r. przy ówczesnej ulicy Zubrzyckiego (dziś M. B. Bolesnej – budynek nie istnieje). Po II wojnie światowej powstały dwa teatry amatorskie. Pierwszy z nich przy starostwie prowadził Stefan Ociepka, a drugi na poczcie prowadził Tomasz Pękala.

W roku 1948 po porozumieniu się przedstawicieli – reżyserów obu tych zespołów – zostały one połączone w jeden, który przyjął nazwę, Teatr Amatorski Ziemi Limanowskiej. Teatr ten działał do 1956 roku. Zarówno o Teatrze Włościańskim, jak również o Teatrze Ziemi Limanowskiej pisaliśmy na łamach „Echa Limanowskiego”.

Opracował Stanisław Ociepka

Fot.: arch. albumu „Okruchy pamięci”

Obok: „Teatr Ziemi Limanowskiej”, sztuka „Moralność Pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej. Aktorzy od lewej: Stefan Ociepka, Kazimiera Pałka-Świątek, Kazimierz Harasiek, Irena Mitka, ??, ??, Tomasz Pękala, ??, Bogumiła Pałka, Jan Olszewski.



Na deskach teatru „Przyjaźń”, sztuka „Sublokatorka”. Stoi druga z lewej Maria Kurtycz - 1930 rok.



Limanowskie „Jasełka” cieszyły się ogromną popularnością. Grane na deskach „Sokoła” w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Komisja Likwidacyjna AK i BCH Obwodu Limanowa

Tomasz Jan Biedron

Rozkaz dowódcy Armii Krajowej gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” z 19 stycznia 1945 roku o likwidacji Armii Krajowej nie rozwiązywał wcale problemu tak dużej i silnej organizacji konspiracyjnej, gdyż samo rozwiązanie AK nie mogło nastąpić na podstawie tylko jednego rozkazu. Wymagało to czasu, w trakcie którego należało załatwić sprawy finansowe, personalne, awansów i odznaczeń. Organizacja zatem funkcjonowała w dalszym ciągu, chociaż przeprowadzano liczne czynności likwidacyjne. Towarzyszyły im masowe aresztowania przeprowadzane przez organa NKWD i UBP oraz samorozwiązywanie się w wyniku demobilizacji istniejących jeszcze ogniw AK. Oba te procesy były ze sobą ściśle powiązane, demobilizacja szeregów AK następowała w wyniku narastającej fali aresztowań, sama zaś miała z kolei na celu uchronienie ludzi przed nimi.¹ Ale prawdą jest również i to, że wielu żołnierzy AK nie podporządkowało się decyzji gen. Okulickiego, nie odpowiedziało na apel władz o ujawnianie się, oddanie broni, bo to oznaczało przyznanie się do działalności konspiracyjnej, a co za tym idzie narażenie się na karne reperkusje.

Wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren powiatu limanowskiego odbyła się odprawa dowództwa AK, na której dowódcy Placówek AK ogłosili złożenie broni i rozejście się do domów. Broń zamelinowano, a kapelan AK ks. Jan Stelmach „Urban” na pożegnanie odprawił mszę polową. Po pewnym czasie dowódcy AK udali się na odprawę do Komendy Okręgu w Krakowie po instrukcje, co do dalszych działań. Tymczasem wszystkie punkty kontaktowe zostały obstawione przez wywiad i agentów WUBP, który posiadał 8 agentów: 4 wywodzących się z szeregów AK i 4 chłopów oraz 22 informatorów ze środowiska robotniczo-chłopskiego.² W wielu wypadkach aresztowanych żołnierzy AK przez NKWD wprost z ulicy wywożono do ZSRR. Dlatego wielu akowców z obawy przed aresztowaniem opuściło teren powiatu limanowskiego, jak chociażby por. Zygmunt Joniec „Zyg”, wyjeżdżając na Ziemię Odzyskane licząc, że безпеaka o nich zapomni.

Początkowo aresztowania były wymierzone w dowódców i oficerów AK i BCh. Zajmowała się tym druga sekcja PUBP w Limanowej rozpracowująca dowództwo AK i 1 PSP AK działających na terenie powiatu limanowskiego w okresie okupacji polując na oficerów. Do marca 1945 roku PUBP zdołał już aresztować: Jana Adamczyka „Gryfa” dowódcę Placówki w Kamienicy „Kuźnia”, por. Władysława Wietrznego „Dębóróg” dowódcę Placówki Tymbark „Tymoteusz” – „Trawna”, ppor. Jana Połomskiego „Dąb” Placówka Kamienica, Władysława Widomskiego „Wolski”, Stanisława Gaca „Gawrona”, Jana Kęskę „Kmicica”. Poszukiwano ppor. Juliana Dutkę „Jaworz” – „Krzemień”, mjr. Adama Stabrawę „Borowego”, ppor. Wiktora Lacha „Wilka”, ppor. Jana Tokarczyka „Baca”, Józefa Gawlika „Pol”, Józefa Lupe „Żbika”, Michała Piaskowego „Trawka”, wspomnianego wcześniej kapelana AK ks. Jana Stelmacha „Urbana”. Pod koniec lutego 1945 roku aresztowano starostę powiatowego Adama Mamaka „Sowala”, członka ZP SL w Limanowej, a następnie usunięto z funkcji starosty

Komisja Likwidacyjna b. A.K.
Obszar Południowy
Okręg Kraków
Obwód Limanowa.

Limanowa, dnia 5. X. 45.

WEZWANIE

Na podstawie decyzji i rozkazów władz przełożonych b. A.K., wzywam wszystkich żołnierzy b. A.K. i B.CH. do zgłoszenia się przed Komisją Likwidacyjną b. A.K.

Po zgłoszeniu się przed Komisją każdy żołnierz otrzyma zaświadczenie, że wypełnił obowiązek ujawnienia się, co gwarantuje mu bezpieczeństwo.

Wzywam również do zgłoszenia się wszystkie wdowy i sieroty po poległych i zamordowanych żołnierzach i działaczach politycznych b. A.K. i B.CH. celem otrzymania zaopatrzenia ze Skarbu Państwa.

Termin zgłoszenia się do dnia 15 października 1945 r.

Miejsce zgłoszenia się, lokal Pow. Rady Narodowej (P. P. S.) w Limanowej ul. Krakowska I. p. w godzinach urzędowych.

Przed Komisją należy złożyć posiadaną broń wraz z amunicją oraz wszelki posiadany materiał wojskowy za pokwitowaniem.

Pow. Delegat Oporu Społ.
„Korzeń”
mgr. Górlński Jan

Komendant Obwodu Limanowskiego b. A. K.
„Filip”
Krzewicki Julian

za: „ściśłą współpracę z podziemiem związanym z emigracją londyńską”.³

Werbowano informatorów pomagających rozpracowywać środowisko AK z terenu powiatu limanowskiego, gdzie bardzo silna była AK, ciesząc się poparciem około 70% ludności. Kierownik PUBP w Limanowej Mieczysław Bubak pisał w meldunku do WUBP w Krakowie, że z Milicją Obywatelską nie było żadnej współpracy, wręcz przeciwnie notowano wrogi stosunek do PUBP, co utrudniało im działanie. Zaraz po wojnie Milicję Obywatelską w Limanowej stanowili przeważnie AK-owcy zorganizowani przez por. Zygmunta Jońca „Zyga” 22 stycznia 1945 roku, który też mianował komendantem Stanisława Halotę. Spośród funkcjonariuszy MO dwóch PUBP aresztował, zaś jednego radziecka grupa operacyjna „Śmierz”. Bubak podawał w meldunku, że tylko mogli liczyć na PPR, która mu pomagała i z którą razem przygotowywali czystkę w milicji, pozbywając się z niej akowców.⁴

Na mocy rozkazu KG AK działała konspiracyjna Komisja Likwidacyjna AK na Okręg Krakowski, na czele której po aresztowaniu płk. Nakoniecznikoff-Klukowskiego, aresztowanego i wywiezionego do ZSRR stanął ppłk Władysław Moykowski „Leszczyński”, aresztowany w sierpniu 1945 roku. Komisja pracowała do sierpnia i załatwiła sprawy awansowe i odznaczeniowe. W związku z aresztowaniami przeprowadzanymi przez bezpiekę ponownie zaczęły się zapelniać lasy. Na terenie całego kraju działały struktury podziemnej organizacji „NIE”, w miejsce której decyzją gen. Andersa powołano w maju 1945 roku Delegatury Sił Zbrojnych. Przetrwały one do 6 VIII tr. i zostały rozwiązane przez płk. Jana Rzepeckiego. Postanowił on w miejsce struktury zbrojnej stworzyć strukturę polityczną. Rzepecki dążył do rozładowania lasów i likwidacji oddziałów leśnych. We wrześniu powołano organizację w skrócie zwaną Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość i Niezawisłość z płk. Rzepeckim na czele.

Dopiero na posiedzeniu WRN w Krakowie 19 IX 1945 roku: przewodniczący WRN Tadeusz Woner, jego zastępca Kazimierz Eustachiewicz, wojewoda Kazimierz Pasenkiewicz, dowódca Krakowskiego Okręgu WP gen. Julian Skokowski oraz szef WUBP mjr Jan Frey-Bielecki ustalono zasady ujawniania się żołnierzy AK, Delegatury Rządu i innych grup podziemia. W następnym dniu



W tym budynku przy ulicy Krakowskiej mieściła się Komisja Likwidacyjna AK i BCh.

na łamach „Dziennika Polskiego” ukazał się apel dowódców AK o ujawnianiu się żołnierzy podpisany przez dowódców m.in. płk. F. Faixa, płk. Wojciecha Wajdę „Odwet”, ppłk. W. Moykowskiego zwolnionego z więzienia i wielu innych. Okręgowa Komisja Likwidacyjna w Krakowie urzędowała w budynku WRN do 15 X 1945 roku.⁵ Za przykładem Krakowa utworzono Komisję Likwidacyjną w Limanowej.

Komisja Likwidacyjna AK i BCh Obwodu Limanowa rozpoczęła urzędowanie 27 września 1945 roku w składzie: mjr Julian Krzewicki „Filip” – przewodniczący, mjr Bronisław Humenny „Jerzy”, „Antek”, „Sergiusz”, kpt. Zygmunt Pawłowski „Borsuk”, kpt. Władysław Wietrzny „Dęboróg”, por. Jan Górlński „Korzeń”, por. Wiktor Lach „Wilk”, ppor. Jan Szewczyk „Hans”, por. Julian Dutka „Jaworz” – członkowie.⁶ Skład Komisji nie był stały, a jej członkowie zmieniali się. Wydrukowano i rozkolportowano plakaty wzywające do ujawniania się byłych żołnierzy AK i BCh podpisane przez byłego komendanta Obwodu limanowskiego AK „Filipa” mjr. Juliana Krzewickiego i powiatowego Delegata Oporu Społecznego por. Jana Górlńskiego „Korzeń”.⁷ Komisji Likwidacyjnej udostępniono lokal Powiatowej Rady Narodowej przy ul. Krakowskiej na 1 piętrze. Termin zgłaszania się upływał z dniem 15 października 1945 roku. Po stawieniu się przed Komisją, każdy żołnierz otrzymywał zaświadczenie o wypełnieniu obowiązku ujawniania się, co gwarantowało mu bezpieczeństwo. Wzywano do wstawiennictwa przed Komisją wszystkie wdowy i sieroty po poległych i zamordowanych żołnierzach, działaczach politycznych AK i BCh celem otrzymania zaopatrzenia ze skarbu państwa.

W pierwszych dniach pracy Komisji Likwidacyjnej AK i BCh ujawniających się było stosunkowo niewiele ze względu zarówno na nieświadomość ludzi, jak i negatywne do niej podejście. Początkowo zarówno społeczeństwo, jak i żołnierze AK i BCh ustosunkowani byli do ujawniania się niechętnie, nie mieli zaufania, obawiając się podstępów ze strony władz (PUBP), sądząc, że władze chcą mieć wszystkich w ewidencji, aby przy najbliższej okazji wyłapać i aresztować ujawnionych. Słyszało się również wypowiedzi, że decyzja ujawniania się dowództwa AK nastąpiła nie dobrowolnie, lecz pod przymusem, w następstwie ich aresztowania. Dopiero po rozlepieniu ogłoszeń i wezwaniu do ujawniania się z podpisami, pseudonimami i nazwiskami komendanta obwodu i delegata oporu społecznego, znanych z okresu okupacji, którzy nie byli aresztowani, społeczeństwo zaczęło inaczej postrzegać ujawnianie się dowódców placówek, oddziałów partyzanckich i żołnierzy AK. Codziennie zaczęło się ujawniać po kilkadziesiąt osób wraz z bronią. Oddział partyzancki por. Jana Stachury „Adama” w sile 80-ciu osób przybył w zwartej grupie wraz z bronią z okolic Mszany Dolnej. Żołnierze AK – pisał mjr Krzewicki – zaczęli postrzegać sam fakt ujawniania się nie jako konieczność, mającą na celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa, lecz jako zaszczytny dowód przynależności do AK. Ale w grę wchodził i drugi czynnik, zmęczenie okresem okupacji, ukrywaniem się, wreszcie potrzeba stabilizacji, powrotu do rodzin i jawnego funkcjonowania w społeczeństwie. W ostatnich dniach działania Komisji Likwidacyjnej liczba zgłaszających się była tak duża, że nie można było nadążyć z rejestrowaniem,

tak że Komisja urzędowała od rana do wieczora. Ewidencję i wpisywanie do książki ewidencyjnej musiano uzupełniać w nocy a nawet w niedzielę.

Kilkanaście osób przybyło z terenów Ziemi Zachodnich, gdzie pracowali na roli lub w urzędach. Po terminie urzędowania Komisji zgłosiło się jeszcze 11 żołnierzy AK z okolic Kłodzka, którzy nie zdążyli przybyć na czas i zostali skierowani do Komisji Likwidacyjnej w Katowicach. Z terenów Ziemi Zachodnich zgłaszali się żołnierze AK, a zwłaszcza z okolic Wrocławia, Kłodzka, Jeleniej Góry, Kamiennej Góry, Nysy, co mogło świadczyć o ich wysokim stopniu poczucia obowiązku. Pomoc w urzędowaniu otrzymała Komisja Likwidacyjna głównie od Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej, która ustosunkowała się do całej akcji bardzo przychylnie, udostępniając swój lokal i materiały biurowe.

Do Komisji Likwidacyjnej zgłosiło się 771 osób, w tym: 30 oficerów (w tym 1 kobieta w stopniu ppor. przedwojennego), 22 oficerów czasu wojny (w tym 11 kobiet), 9 podchorążych, chorążych⁷, 395 podoficerów (w tym 10 kobiet), 309 szeregowych (w tym 6 kobiet). Ogółem ujawniło się 28 kobiet.⁸ Ujawnili się oficerowie czasu wojny, podporucznicy: Stanisław Oleksy „Głóg”, Jerzy Samuraj „Tatar”, Stanisława Paszkowska „Julita”, Józef Brewczyński „Wierzba”, Maria Rzepka „Marysia”, Stanisława Joniec „Śmiała”, Maria Klimczyk „Bari”, Krystyna Smaga „Ziółko”, Józef Śmieszek „Sikora”, Michał Lis „Wyrwa”, Stanisława Szewczyk „Roztropna”, Jadwiga Stachura „Jaga”, Mieczysław Daszkiewicz „Dach”, Stanisław Widomski „Wisła”, Anna Rosiek „Klara”, Józefa Woźniczka „Jutrzenka”, Janina Duchnik „Marta”, Tadeusz Lubecki „Śmigły”, Janina Malewska „Jaskółka”, Jan Wąchała „Łazik”, Zdzisław Olszewski „Sławek”, Władysław Wietrzny „Dębóróg”.⁹

Komisja Likwidacyjna AK i BCh awansowała oficerów i podoficerów na kolejne stopnie. I tak do stopnia kaprała rezerwy awansowano 301 żołnierzy AK, do stopnia plutonowego 80, do stopnia sierżanta zawodowego 3, do stopnia sierżanta rezerwy 60, do stopnia starszego sierżanta zawodowego 1, do stopnia starszego sierżanta rezerwy 26, do stopnia chorążego rezerwy 7, do stopnia podchorążego rezerwy 9, do stopnia ppor. rezerwy 16, do stopnia ppor. służby stałej 2, do stopnia por. rezerwy 5, do stopnia kpt. rezerwy 8, do stopnia kpt. zawodowego 1, mjr rezerwy 1.

Odnaczono: Krzyżem Walecznych 3 oficerów i 5 podoficerów po raz pierwszy, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami 38 oficerów w tym 11 kobiet, Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami 242 podoficerów.¹⁰

Ujawniający się zdali następującą broń: 10 ckm, 5 rkm, 9 pistoletów maszynowych, 6 kb autom., 56 pistoletów kb, 3 pistolety, 41 granatów, 3 piaty ppanc., 23 taśmy do broni maszynowej, raketnicę. Wraz ze złożoną bronią oddano: 4989 sztuk amunicji do broni maszynowej, pistoletów maszynowych i kb, 23 sztuki pocisków do piat ppanc., angielski materiał wybuchowy, 96 sztuk lasek plastiku po 225 gramów, 3 rolki lontu wybuchowego po 500 stóp angielskiego, 1 rolkę lontu wybuchowego po 200 stop angielskiego, 10 m lontu prochowego, 79 sztuk detonatorów, 300 sztuk spłonek saperskich, 3 pudełka końcówek do lontu, 32 sztuki zapalników naciskowych, 4 pudełka desikatora, 16 sztuk zapalników odciążowych, 187 sztuk zapalników elektrycznych, 74 sztuki zapalników ołówkowych detonujących, 3 rolki taśmy izolacyjnej, 3 rolki drutu pułapkowego, 1 zaciskacz do spłonek.¹¹ Sporo broni oddano jeszcze poza Komisją Likwidacyjną. Był to sprzęt i broń odebrane przez wojska Armii Czerwonej, zdany w MO i PUBP. Za złożoną broń, amunicję i sprzęt wojskowy Komisja wydawała pokwitowanie.

Komisja Likwidacyjna AK i BCh interweniowała w PUBP w Limanowej w sprawie zwolnienia od meldowania się w tygodniu Marii Biros z pozytywnym wynikiem. Odzyskano też dokumenty skonfiskowane Zofii Turskiej i Marii Rzepce przez funkcjonariuszy PUBP w czasie rewizji w dniu 24 marca 1945 roku. Otrzymano też wykaz rzeczy zabranych Marii Turskiej z Tymbarku w trakcie przebywania w areszcie PUBP w marcu 1945 roku, odzież i paszport szwajcarski. Na skutek interwencji Komisji został zwolniony z więzienia w Kielcach Adam Mamak. Interweniowano w sprawie aresztowanych: Kazimierza Drożdża „Brona” zastępcy dowódcy Placówki AK w Jodłowniku i dowódcy 2 plutonu AK, Jana Kaweckiego przetrzymywanych w WUBP w Krakowie przy Placu Inwalidów, ale bez skutku.

Zarejestrowano 114 żołnierzy AK poległych, zamordowanych i wywiezionych do obozów. Ze względu na brak czasu i nieświadomość ludzi, pomimo ogłoszeń, sprawę strat zarejestrowano

pobieżnie, z powodu braku szczegółowych danych. Dlatego rejestrację strat należałoby przeprowadzić jeszcze raz w gminach, pisał w sprawozdaniu mjr Krzewicki. Sporządzono wykaz strat materialnych poniesionych przez żołnierzy AK w czasie rewizji dokonywanych przez funkcjonariuszy PUBP. Z działu opieki skierowano rannego żołnierza do Komisji Okręgowej w Krakowie, celem przekazania do szpitala wojskowego i jednego obywatela chorego po pobiciu, przez gestapo. Przyznano siedmiu wdowom z terenu miasta Limanowa przydziały żywnościowe z puli PRN.¹²

Zdaniem przewodniczącego Komisji Likwidacyjnej mjr. Krzewickiego akcja ujawniania była za mało rozpropagowana, wiedzieli o niej jedynie ludzie, którzy czytali dzienniki lub słuchali radia, a tych było niewiele, zwłaszcza na wsi. Wprawdzie ludzie dowiedzieli się o komisji z rozlepionych ogłoszeń, jednak ze względów technicznych były one lakoniczne i za bardzo urzędowe, a ludność z zasady ustosunkowuje się do wszelkich ogłoszeń urzędowych z rezerwą. Ze względu na krótki termin i nawał pracy nie można było przeprowadzić weryfikacji dokładnie, tym bardziej, że zgłaszali się ludzie z innych terenów. Wobec tego mogły mieć miejsce wypadki krzywdzące osobę zgłaszającą się lub przeceniające w przypadku awansowania lub odznaczenia. Poza tym trudności Komisji Likwidacyjnej AK i BCh polegały na niestałym składzie członków Komisji, na braku możliwości uzyskiwania wyczerpujących informacji od Okręgowej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie. Na początku nie wydawano arkuszy ewidencyjnych żołnierzom, później na skutek zarządzeń Komisji Okręgowej musiano dodatkowo dorabiać arkusze ewidencyjne. Nie otrzymano pieczętki z PUBP w Limanowej.¹³ W wyniku zasięgniętej informacji w Komisji Okręgowej przez por. Wiktora Lacha „Wilka” i za jej aprobatą awansowano w Komisji oficerów i nadawano odznaczenia: Krzyże Walecznych i Krzyże Zasługi z Mieczami, a nie podawano wniosków.

Niewątpliwie, Komisja Likwidacyjna AK i BCh przyczyniła się do częściowego rozładowania lasów, pozwoliła powrócić wielu żołnierzom AK i BCh do rodzin i legalnego życia. Niestety w wielu przypadkach sprawdziły się obawy żołnierzy AK obawiających się ujawnienia. Mjr Julian Krzewicki został w 1950 roku



Od lewej: Zygmunt Joniec „Zyg”, Franciszek Groele „Bystry”.



Stanisława Joniec (Jasica) „Śmiała”.

został skazany przez WSR w Krakowie 14 III 1953 roku na karę śmierci, zamienioną na 15 lat więzienia a następnie 12. Więziony w Krakowie, Wronkach i Rawiczu, Bartoszewie, Strzelcach Opolskich, po uchyleniu wyroku przez Naczelny Sąd Wojskowy wrócił do Limanowej, został zrehabilitowany w 1956 roku.¹⁵

W latach 1945-1956 starano się odebrać zasługi żołnierzom walczącym w czasie okupacji, nazywając ich reakcyjnym podziemiem, dyskredytowano osiągnięcia w walce z okupantem hitlerowskim, ukazując jako wrogów socjalistycznego państwa. Ale na pełną satysfakcję i rehabilitację mogli liczyć dopiero po zmianie ustroju w 1989 roku.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

¹ G. Mazur, Likwidacja i demobilizacja krakowskich struktur Armii Krajowej, www.kedyw.info/wiki/Grzegorz Mazur, s.1.

² Sprawozdanie kierownika PUBP w Limanowej Mieczysława Bubaka z 25 III 1945 roku, 056/3, tom 1, IPN Kr, s.100-101.

³ Raport sytuacyjny PUBP w Limanowej nr 1a z 21 II 1945 roku, IPN Kr, s.2.

⁴ Tamże. Zob. też: G. Mazur, W. Rojek, M. Zgórnjak, Wojna i okupacja na Podkarpaciu i Podhalu na obszarze Inspektoratu ZWZ-AK Nowy Sącz 1939-1945, Kraków 1998.

⁵ Mazur, Likwidacja i demobilizacja krakowskich struktur Armii Krajowej, s.6.

⁶ J. Krzewicki, Sprawozdanie Komisji Likwidacyjnej AK i BCh Obwód Limanowa, Limanowa 23 X 1945 roku, 9/112, IPN BU, s.4.

⁷ Wezwanie Komisji Likwidacyjnej b. AK, Obszar Południowy, Okręg Kraków, Obwód Limanowa z 5 X 1945 roku, 9/112, IPN BU, s.11. Julian Krzewicki (1910-1987), kpt. „Filip”, od 1 IX 1943 komendant Obwodu Limanowskiego AK i dowódca II batalionu 1 PSP AK do 16 I 1945. Ukrywał się do 1 X 1945, zaś 25 IX 1945 ujawnił się przed Okręgową Komisją Likwidacyjną w Krakowie, otrzymując stopień mjr. Został odznaczony: Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari V kl., Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem AK, Medalem Wojska, Krzyżem Partyzanckim, Medalem za udział w Wojnie Obronnej 1939, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką Grunwaldzką. Zob. szerzej: Julian Krzewicki, Wspomnienia, Gorlice-Kielce 1996, sporządzone przez syna Jerzego Krzewickiego, mps. w posiadaniu autora.

⁸ Krzewicki, Sprawozdanie Komisji Likwidacyjnej AK i BCh Obwód Limanowa, Limanowa 23 X 1945 roku, 9/112, IPN BU, s.4. Według raportu WUBP w Krakowie obejmującym okres od 10 do 13 X 1945 roku w dniu 13 X 1945 roku do Komisji Likwidacyjnej AK w Limanowej zgłosiło się 250 osób w tym 20 oficerów, którzy złożyli

znaczną ilość broni i amunicji. W raporcie podaje się, że m.in. ujawnili się por. Zygmunt Joniec „Zyg” wraz ze swoją grupą oraz Jan Stachura „Adam” wraz z kilkoma osobami, Raport do MBP Dep. I w Warszawie, WUBP w Krakowie z 20 X 1945 roku, 056/1, tom 2, IPN Kr, s.181. Z kolei Zygmunt Joniec „Zyg” w cytowanym wywiadzie podawał, że ujawnił się w VI 1945 roku, a w Komisji był jego dowódcą mjr Bronisław Humenny „Jerzy” „Antek” „Sergiusz”. Co zaś dotyczy samej daty ujawnienia się „Zyga” (VI 1945), to mogła nastąpić pomyłka albo jego samego, albo przeprowadzającego z nim wywiad, Z. Berdychowski, Rozmowy z Zygmuntem Jońcem, „Gazeta Chłopska” nr 5 z 6 VIII 1989 r, s.13-14.

⁹ Krzewicki, Sprawozdanie Komisji Likwidacyjnej AK i BCh Obwód Limanowa, Limanowa 23 X 1945 roku, 9/112, IPN BU, s.4. W meldunku specjalnym WUBP w Krakowie podawał, że do 23 X 1945 roku do Komisji Likwidacyjnej AK zgłosiło się 29 oficerów, 427 podoficerów, 325 szeregowców. Z „ważniejszych” dowódców wymieniono: ppor. Wincentego Rośka „Dolner” (Placówka Ujanowice), pchor. Jana Połomskiego „Dąb” (Słopnice, Zalesie), ppor. Władysława Sokulskiego „Skalica” (Łącko), pchor. Wincentego Matrasa „Skoczylas” (Laskowa), ppor. Władysława Wietrznego „Dębóróg” (Tymbark), ppor. Wiktora Lacha „Wilki” (Dobra), por. Zygmunta Pawłowskiego „Borsuk” (Jodłownik), pchor. Stanisława Ziębę „Rys” (Mszana Dolna), Meldunek specjalny z dnia 23 X 1945 roku, 056/12, tom 2, IPN Kr, s.210. Kilku z wyżej wymienionych dowódców nie znalazło się w sprawozdaniu mjr. Krzewickiego. Mogli oni ujawnić się po zakończeniu pracy Komisji.

¹⁰ Krzewicki, Komisja Likwidacyjna Obwód Limanowa, Limanowa 20 X 1945, Wykaz oficerów czasu wojny, Wykaz oficerów i podoficerów awansowanych przez Komisję Likwidacyjną, 9/112, IPN BU, s.8-9.

¹¹ Krzewicki, Komisja Likwidacyjna Obwód Limanowa, Limanowa 20 X 1945, Wykaz broni i amunicji oddanej do Komisji Likwidacyjnej AK w Limanowej, 9/112, IPN BU, s.6-7.

¹² Krzewicki, Sprawozdanie Komisji Likwidacyjnej AK i BCh Obwód Limanowa, Limanowa 23 X 1945 roku, Wykaz rzeczy zabranych przez PUBP w Limanowej dnia 24 III 1945 u Ob. Rzepki Marii i Turskiej Zofii, 9/112, IPN BU, s.5, 10.

¹³ W sprawozdaniu WUBP w Krakowie a okres od 1 IX do 1 XI 1945, sporządzonego 26 XI tr podano, że w Komisji Likwidacyjnej AK zarejestrowano 834, a po okresie ujawnienia zarejestrowano w PUBP w Limanowej jeszcze 60-ciu AK-owców, spośród których zwerbowano 9, 056/1, tom 3, IPN Kr, s. 24.

¹⁴ Julian Krzewicki, Wspomnienia, Gorlice-Kielce 1996, sporządzone przez syna Jerzego Krzewickiego, mps. w posiadaniu autora, s.2.

¹⁵ Berdychowski, Rozmowy z Zygmuntem Jońcem., s. 13-14; Wywiad z Zygmuntem Jońcem, „Aktualności Ziemi Limanowskiej” nr 23 z 8 VII 1990, s.4; p nr 24 z 22 VII 1990, s.4; nr 25 z 5 VIII 1990, s.3; nr 26 z 19 VIII 1990, s.2; Charakterystyka nr 128 reakcyjnej organizacji politycznej pod nazwą Odwet Górski o zabarwieniu akowskim, Kraków 18 V 1981 r., IPN Kr.

► podstępnie aresztowany przez UBP, a następnie więziony w Gorlicach i Krakowie, był torturowany i bezsensownie oskarżany. Po prawie dwóch latach więzienia pomimo uwolnienia, nadal był prześladowany i szykanowany, aż do 1956 roku, w którym został zrehabilitowany.¹⁴ Podobny los spotkał por. Zygmunta Jońca „Zyg”, który ujawnił się przed Komisją Likwidacyjną w Limanowej, był Dowódcą Placówki AK obejmującej Limanową, został zweryfikowany do stopnia kapitana. Aresztowany 25 IV 1952 roku w ramach rozpracowania organizacji konspiracyjnej „Odwet Górski”

Historia ZNP w powiecie limanowskim

– okres międzywojenny i okupacja – cz.2

W poprzednim wydaniu „Echa Limanowskiego” przedstawiliśmy historię ZNP w powiecie limanowskim w okresie galicyjskim. Zaprezentowaliśmy również w ogólnych zarysach postać autora, który opisał historię Związku (St. Ceglarz urodził się w Starym Sączu, a nie jak podano w Nowy Sączu). Aktualnie ten dokument w rękopisie pozostaje w aktach współczesnych władz ZNP w Limanowej.

Obecnie prezentujemy kolejne okresy działalności tej organizacji nauczycielskiej w latach międzywojennych i okupacji hitlerowskiej.



Rozpoczęcie roku szkolnego w Szkole Powszechnej w Limanowej. Do młodzieży przemawia starosta Ludwik Malkowski, obok Stanisław Ceglarz. Lata trzydzieste ubiegłego wieku.



Stanisław Ceglarz nad potokiem Sowlinka.

Z chwilą odzyskania niepodległości w 1918 roku rozpoczęła się ożywiona praca organizacyjna w Związku Nauczycielstwa Polskiego Szkół Powszechnych i równocześnie rozpoczęły się próby rozbiwania naszej organizacji przez wysłanników Stowarzyszenia Chrześcijańsko – Narodowego Nauczycieli Szkół Powszechnych, które nie zyskało ani jednego członka spośród tutejszego nauczycielstwa. Związek rozwijał się szybko, chociaż praca nauczycielstwa odbywała się w bardzo trudnych i ciężkich warunkach powojennych.

W pierwszych latach powojennych szalała drożyzna i inflacja, powodujące trudności aprowizacyjne i zaopatrzeniowe. Toteż Zarząd Oddziału Powiatowego z prezesem Michałem Dobkiem i prezesami Ognisk Franciszkiem Lubojemskim w Limanowej i Janem Kurletą z Mszany Dolnej założyli własną Spółdzielnię w Limanowej, która stała się źródłem zaopatrzenia nauczycielstwa całego powiatu w produkty żywnościowe i najpotrzebniejsze przybory szkolne. ►

Po śmierci Michała Dobka prezesem Zarządu Oddziału Powiatowego został Franciszek Lubojemski, a prezesami Ognisk: w Limanowej - Antoni Górszczyk, w Mszanie Dolnej - Józef Myszkowski.

Równoległe z rozwojem organizacyjnym została rozwinięta praca kulturalno-oświatowa. Przy ogniskach zostały zorganizowane księgozbiory biblioteczne i sekcje odczytowe, które rozpoczęły pracę oświatową wśród tutejszej ludności w środowisku wiejskim. Po przeniesieniu się w 1925 roku Franciszka Lubojemskiego do Prokocimia, a Józefa Myszkowskiego do powiatu nowosądeckiego prezesem Zarządu Oddziału Powiatu zostaje Antoni Górszczyk, prezesem Ogniska w Limanowej - Franciszek Skoczeń, a w Mszanie Dolnej - Władysław Kasprzyk.

Przy Zarz. Oddz. Powiatowym zostaje w tym czasie zorganizowana sekcja oświaty pozaszkolnej, która w powiecie przeprowadziła cały szereg kursów w zakresie siedmioklasowej szkoły, przy których prowadzono równocześnie naukę sadownictwa, pszczelarstwa, warzywnictwa, hodowli, przetwórstwa owocowego i gotowania, robót ręcznych z zakresu wyrobów wełnianych i kilimkarstwa. Poszczególne te działy prowadzone były zależnie od potrzeb środowiskowych. Drugą sekcją była sekcja krajoznawcza i regionalna, która urządziła wycieczki po kraju dla nauczycielstwa.

Przy Ognisku w Limanowej został zorganizowany zespół teatralny, który prowadził Franciszek Biedroń, zespół chóralny kierowany był przez Jana Kalisza, a zespół muzyczny prowadził Mieczysław Mordarski (senior).

Związkowymi i dobrowolnymi datkami nauczycielstwa zapoczątkowano gromadzić eksponaty z poszczególnych regionów powiatu limanowskiego, a ponieważ starania u ówczesnych władz powiatu limanowskiego o uzyskanie lokalu na to muzeum regionalne nie odniosły skutku, tak więc zebrane eksponaty zostały przekazane do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

W tym samym czasie przy Ognisku zorganizowano Kasy Samopomocy Koleżeńskiej i własny Fundusz Pośmiertny. ZNP, który powstał w 1930 r. z połączenia Zw. Polskiego Naucz. Szkół Powszechnych i Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich, był silną organizacją zawodową, którą reakcyjna polityka sanacji starała się rozbić



Wspólny obiad robotników (ochotników) usuwających szkody po powodzi w 1934 roku. Pierwszy z lewej siedzi Stanisław Ceglarz - długoletni kierownik szkoły.

i szukała różnych powodów, aby pozwoliły na wkroczenie i zamknięcie działalności organizacji związkowej.

Solidarność swą organizacyjną tutejszego powiatu wykazał ZNP w 1937 roku.

Nadeszła sposobność dla władz państwowych przy wydaniu jednego z numerów „Płomyka” przedstawiającego życie w ZSRR (powstał w 1922 r. - przyp. red.), co spowodowało narzucenie komisarza rządowego w osobie niejakiego Musiała. Nauczycielstwo nie chcąc pogodzić się z tym zarządzeniem, rozpoczęło strajk i bierny opór wobec narzuconych osób w Zarządzie Głównym.

Powiat limanowski w całości stanął po stronie Zarządu Głównego, włączając się czynnie do bojkotu narzuconej przez władzę w Związku. Nawiązany został ścisły kontakt z przedstawicielem zawieszzonego Związku Głównego, Kazimierzem Majem, z którym kontakty utrzymywał prezes Zarządu Oddz. Powiat. Antoni Górszczyk. W tym czasie we władzach Zarządu Oddziału Powiatowego w Limanowej byli: Stanisław Baczyński - sekretarz, Stanisław Ceglarz - skarbnik, Aleksander Pisarczyk - zastępca prezesa oraz członkowie Zarządu: Franciszek Biedroń, Franciszek Skoczeń, Stanisław Królikowski, Stanisław Odziomek, i Franciszek Bogacz - przewodniczący Komisji Rewizyjnej.

Ze względu na wspieranie Zarządu Głównego przez władze Zarządu Oddziału Powiatowego ZNP, ówczesny starosta powiatowy zarządził przeprowadzenie rewizji

celem uzyskania dowodów u Antoniego Górszczyka - prezesa, Stanisława Ceglarza - skarbnika i Franciszka Skoczenia - prezesa Ogniska w Limanowej. Rewizja nie dostarczyła żadnych dowodów, wobec tego postanowiono dokonać przeniesienia tych osób do innych województw. Przeniesienia te nie doszły do skutku, ponieważ na Zjeździe Delegatów w Krakowie dokonano wyboru nowego Zarządu Głównego, który stanął w obronie osób mających być przeniesionymi z powiatu limanowskiego.

Po zakończeniu strajku praca w związku wróciła na dawne tory, ale były naciski administracyjne o przystąpienie do ONP. Ponieważ odmówiono przystąpienia do sanacyjnego ugrupowania politycznego, rozpoczęły się nowe szykany niektórych członków z Zarządu Oddziału i Ognisk. Przy organizowaniu powiatowych zebrań związkowych ówczesne władze administracji państwowej żądały bardzo często programu obrad i dopiero uzyskiwało się zezwolenie na takie zebranie.

Pomimo stosowanych najrozmaitszych nacisków i szykan ze strony władz administracyjnych Związek Nauczycielski i jego członkowie w powiecie mieli uznanie społeczeństwa, które doceniało pracę nauczycielstwa i zawsze stawało w jego obronie.

Dopiero najazd hitlerowski w 1939 roku przerwał pracę w naszej organizacji, która w okresie międzywojennym decydująco zaważyła na dziejach oświaty i kultury w tutejszym powiecie. W okresie okupacji hitlerowskiej przerzedziły

się szeregi nauczycielstwa tutejszego powiatu, jedni polegli w walce z najeżdżącą jako żołnierze i członkowie ruchu oporu, inni w obozach koncentracyjnych.

Pierwszych aresztowań dokonał okupant 9 września 1939 r. na podstawie wezwań pod pretekstem rejestracji oficerów rezerwy. Tych którzy się nie zgłosili aresztowano w domach i odstawiono do więzienia w Limanowej.

W następnych latach prawie co roku ubywali z szeregów naszych ci, których Gestapo wywoziło do obozów koncentracyjnych. Członkowie rodzin po aresztowaniu pozostawali bez środków do życia i tymi należało się zaopiekować i przyjść z pomocą. Aby upozorować swą działalność przed okupantem pozostali na wolności członkowie Zarządu Oddz. Powiat. Ognisk. Zorganizowali Koło Opiekuńcze PCK, do którego wstąpili wszyscy pracujący nauczyciele w powiecie, zbierane składki przez rejonowych płatników służyły na wypłatę tym rodzinom. Koło to objęło także swą opieką nauczycieli wysiedlanych z Wielkopolski, Śląska i Pomorza. Pracę swą prowadziło to Koło PCK do czasu zlikwidowania tej organizacji na terenie okupowanym. Prezesem Koła był Franciszek Skoczeń, sekretarzem Zofia Steczowicz, skarbnikiem Stanisław Ceglarski.

Po skontaktowaniu się z Romanem Serkowskim, który z Krakowa przyjechał do Limanowej, w maju 1941 r. została zorganizowana Tajna Organizacja Nauczycielska, która po zlikwidowaniu Koła PCK przejęła całą pracę charytatywną, którą prowadzono do wyzwolenia powiatu spod okupacji.

Pracę tą rozpoczęto wraz z uruchomieniem nauki w szkołach w październiku 1939 roku jako niezorganizowane tajne nauczanie. Po nawiązaniu kontaktu z Krakowem w końcu listopada 1941 roku przystąpiono do ujęcia zorganizowanego tajnego nauczania. Po zorganizowaniu Powiatowej i Gminnych Komisji Oświaty i Kultury praca tajnego nauczania została ujęta w ramy organizacyjne w całym powiecie od 1 września 1942 r. Przewodniczącymi i sekretarzami komisji byli członkowie ZNP. Nauka prowadzona była w kompletach, zaś w niektórych szkołach prowadzono równolegle jako pełne klasy kompletowe z nauką w szkołach podstawowych. Tak było w Szczyrzycu i Szyku, a w niektórych klasach VII przerabiano materiał klas I i II szkoły średniej i tak pracowano: w Limanowej,

**KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO KRAKOWSKIEGO
PAŃSTW. KOMISJA WERYFIKACYJNA**
w *Limanowej*

Zaświadczenie

Nr 55.

Maria
urodzony (a) dnia *20 października 1930* r. w *Limanowej* pow. *limanowski*
ukończył (a) w wyniku tajnego nauczania w czasie okupacji niemieckiej 1939–1944 roku
pierwszą klasę gimnazjalną (typ szkoły)
i otrzymał (a) następujące oceny:

1) z religii <i>bardzo dobry</i>	6) z geografii <i>dobry</i>
2) z jęz. polskiego <i>dobry</i>	7) z biologii <i>dobry</i>
3) z jęz. łacińskiego <i>dobry</i>	8) z fizyki i chemii <i>dobry</i>
4) z jęz. angielskiego <i>dobry</i>	9) z matematyki <i>dobry</i>
5) z historii <i>dobry</i>	10) z <i>.....</i>

otrzymał (a) ze wszystkich przedmiotów oceny dodatnie.

Zaświadczenie niniejsze wydaje się na podstawie poświadczenia o tajnym nauczaniu, wystawionego przez *Komisję Tajnego Nauczania w Limanowej z 18/V.1944.*

Na mocy Zarządzenia Resortu Oświaty z dnia 23. 8. 1944 (Nr. 67/11 - Sr/44) zaświadczenie niniejsze jest równoznaczne z normalnym świadectwem szkolnym państwowych szkół średnich.

Limanowa, dnia *24 maja 1945* r.
(Miejscowość)

Członkowie Komisji:
Wojciech Jan
Włodzisław



Przewodniczący
Państwowej Komisji Weryfikacyjnej
Stanisław Ceglarski
Inspektor Oświaty

EGZAMIN ZDAWANY W N. Spół. ma ul. DŁUGOŚCIA W SULEJOWIE

Świadectwo wystawione przez Komisję Tajnego Nauczania w Limanowej w 1945 roku.

Sowlinach, Dobrej, Ujanowicach i Mszanie Dolnej. Wśród kompletów pełnych było prowadzone gimnazjum handlowe w Strzeszycach, a w Limanowej komplet I roku Politechniki, który prowadził prof. inż. Antoni Plamitzer, (W 1944 r. wraz z rodziną zamieszkał w Limanowej, gdzie pracował w ramach robót przymusowych dla Niemców przy rozbudowie stacji kolejowej – przyp. red.).

W zorganizowanym tajnym nauczaniu pracowało 148 uczących, a przeprowadzono 445 egzaminów, w tym 27 pełnych matur i 127 egzaminów z ukończenia siódmej klasy szkoły powszechnej, pozostałe zaś egzaminy z poszczególnych klas gimnazjalnych.

Praca na tajnych kompletach była prowadzona w bardzo trudnych i ciężkich warunkach i trwała do momentu wyzwolenia tutejszego powiatu w styczniu 1945 roku.

Szczegółowe dane wraz z imiennymi wykazami zostały napisane przez piszącego obecną historię Związku dla Polskiej Akademii Nauk – Oddz. w Krakowie – Podkomisja Historii Oświaty – jako „Historia szkolnictwa i tajnego nauczania w powiecie limanowskim w czasie okupacji hitlerowskiej”.

Fotografie: arch. rodziny Winiewskich, arch. albumu „Okruchy pamięci”

Przeminęło z czasem

– wspomnienia z lat okupacji

Antoni Mamak

Wracam wspomnieniami do lat czterdziestych ubiegłego stulecia, kiedy nam, jeszcze dzieciom, osobiście było dane doświadczyć nieraz tragicznych wydarzeń. W pewnym sensie należy zazdrościć dzisiejszej młodzieży spokoju, który im się słusznie należy. Nam groziło ze wszystkich stron niebezpieczeństwo, staraliśmy się utrzymać jednak pogodę ducha, a nawet zabawić się. Miałem już dziewięć lat, ukończyłem drugą klasę szkoły podstawowej. Było piękne lato. Pomagałem jak zwykle przy pracach polowych. Do naszego domu chętnie przychodzili sąsiedzi, znajomi z miasta, a nawet Żydzi, z którymi ojciec miał dobre stosunki. Kupował w nich skóry na buty, bo był z zawodu szewcem. Szczególnie przyjaźnił się z jednym Żydem, który mieszkał na Piekło (Dziś rejon przy ul. Mordarskiego). Często przychodził on do nas pod Górę i prowadzili z ojcem dyskusje, przeważnie na temat wiary. Pewnego razu zdenerwowany Żyd wykrzyknął: „Wy, katolicy wnet będziecie nas prosić o klucze do kościoła”. Ojciec wpadł w nerwy i wyrzucił Żyda z domu. Po niedługim czasie Żyd przychodzi znów do domu. Mówi: „Dzień dobry, Franciszku” – kładzie mace na stole i znowu wszystko jest po staremu.



Przemarsz kolumny wojsk niemieckich przez Limanową - na wysokości stacji kolejowej - 1940 rok.

Pod koniec wakacji kilku moich sąsiadów powołano do wojska. Wojna była pewna, chociaż tak naprawdę nie bardzo w nią wierzyliśmy. Aż nagle gruchnęła wiadomość: Niemcy uderzyli na Gdańsk i przekroczyli polskie granice. W naszym mieście wybuchła panika. Znajomi z „Kamieńca” z wózkami, tobołami i z czym tylko dało się zabrać, zaczęli uciekać. Jedni na wschód, ale kilka rodzin przyszło schronić się do naszego domu. Były

też i rodziny żydowskie. Spali na boisku, w stodole, na strychu. Ojciec nikomu nie odmówił schronienia. Pamiętam śmieszny epizod z młodą Żydówką. Jednego dnia użądliła ją pszczoła. Rwetes, jaki zrobiła cała rodzina, był dla nas wielką uciechą. Dla nas to była „normalka”. Chodziło się boso po łąkach pełnych pszczoł i trzmieli, o ukąszenie było łatwo. Wyciągało się żądło palcami i po sprawie. Ja nawet wybiebrałem gniazda trzmieli ukryte w miedzy,

wypijałem miód z plastra przy pomocy słomki, a rozłoszczone owady żądliły jak szalone.

Po kilku dniach pobytu u nas, kiedy już wojska niemieckie wkroczyły do Limanowej, wszyscy uciekinierzy powrócili do swoich domów. Zaczął się okres niemieckiego terroru. W pierwszych dniach września, w pobliżu miasta, w Mordarce – Cieniawie Niemcy rozstrzelali kilku Żydów. Z nimi był jeden katolik, nazywał się Semik. Ukazały się też niemieckie zarządzenia, najpierw te najostrejsze. Za przechowanie Żyda lub jego majątku – kara śmierci. Za przechowanie broni – kara śmierci. Takie zarządzenia w miarę upływu czasu zostały poszerzone i dotyczyły niemalże wszystkich dziedzin życia i gospodarki. Jakie niebezpieczeństwo niósł kontakt z Żydami, przekonał się o tym mój ojciec. Któregoś dnia wybrał się on do znajomego Żyda na Piekło. W pewnym momencie usłyszał okrzyk niemieckiego policjanta: „Halt! Das ist Jude” (Stój! Ty jesteś Żydem). Ojciec nie miał opaski z gwiazdą Dawida, jaką musieli nosić Żydzi i tylko dobra znajomość języka niemieckiego uratowała go, być może, nawet od utraty życia. Ja też miałem jedno nieprzyjemne doświadczenie, zdawałoby się mniej ważne. Szedłem naszą drogą, w moim kierunku zbliżało się kilku niemieckich żandarmów. Bardzo się ich przestraszyłem, ale wiedziałem, że uciekać nie wolno. Już ich wyminąłem, wtedy jeden krzyknął: „zurück” (z powrotem). Wróciłem i mówię: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Rechet śmiechu pamiętam do dziś. Tak wspominam pierwsze miesiące okupacji niemieckiej. Dziś po wielu latach, trudno mi jest opisać szczegółowo przeżycia pięciu lat szkolnych (od 1939 do 1944 roku). Nie pamiętam dokładnie, w którym miesiącu zacząłem naukę w szkole. Jedno jest pewne, że nie był to wrzesień i nie była to moja dawna szkoła. Nasza szkoła została zajęta najpierw przez wysiedleńców z Poznania, tzw. Poznaniaków, a po tym przez wojsko niemieckie. Nasi dzielni nauczyciele dołożyli wszelkich starań, aby wyszukać



Część uregulowanego potoku Mordarka na wysokości (placu „Dołka”) Sokoła z widoczną kręgielnią po prawej stronie. Pracę przy regulacji potoku wykonywali Polacy - kamieniarka i Żydzi - prace ziemne, 1941 r.

odpowiednie miejsce do dalszej nauki. Odbywała się ona w różnych budynkach. Ja zostałem skierowany do szkoły w Sowlinach, wybudowanej w 1929 roku staraniem wójta Józefa Mamaka na polu zakupionym od Ślęzyków. Budynek ten znajdował się – jak się mówiło – blisko Krzyżowej. Był to ładny jednopiętrowy budynek, przy głównej ulicy. Nasza sala znajdowała się w przyziemiu, od głównego wejścia schodziło się kilka stopni w dół. Była ona dosyć obszerna z trzema oknami w kierunku wschodnim. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie byłem na pierwszym piętrze. Raz tylko udało mi się przez uchylone drzwi spojrzeć do sali gimnastycznej, zobaczyłem tam ołtarz i duże figury, przypominające te, co są w naszym kościele. Trwało to jednak bardzo krótko. Kierownikiem szkoły był pan Franciszek Skoczeń, baliśmy się go jak ognia. Mówiło się: „nie daj Boże dostać się w jego ręce”.

Szkoła w Sowlinach była oddalona od mojego domu około trzy kilometry. Szliśmy do niej na wprost, ścieżkami wśród łąk i pól uprawnych i głębokiego parowu, porośniętego grabami i cierniem. Wzdłuż niego była wąska polna droga. Droga ta w czasie deszczu była pokryta rozmokłą gliną, niemożliwą do przejścia. Aby ją pokonać, szliśmy krajem uprawnego pola. Chcąc chronić swoje pole, gospodarz zrobił zaskieki z ciernia.

My i tak szliśmy poza ciernie. Czasem gospodarz robił na nas zasadzkę. Był już jednak starszym mężczyzną i nie miał z nami szans, żeby nas złapać. Ten głęboki parów nazywany przez nas „paryją”, krył wiele tajemnic. Jego urwiste brzegi, pokryte krzewami, cierniem, trawą pełną żab i ślimaków winniczków, były ulubionym miejscem naszej penetracji. Jednego dnia w gęstych zaroślach tarniny zobaczyliśmy ukryty karabin. Z ogromnym przerażeniem patrzyliśmy na ten śmiercionośny sprzęt. Strach nas ogarnął, bo jeśliby nas ktoś zobaczył, mogliśmy być posądzeni, że to myśmy go tam ukryli. Za to była tylko jedna kara. Po kilku dniach karabinu w tym miejscu nie było. Dalej do szkoły szliśmy ziemnym nasypem wzdłuż torów kolejowych. Było tam spokojnie i zarazem ciekawie. Często przejeżdżały pociągi osobowe i towarowe, załadowane sprzętem wojennym. W zimie w nawisach śnieżnych zasp drażyliśmy głębokie tunele. Na węgry i włóczęgi pozaszkolne chodziliśmy do najbardziej tajemniczego lasu, jaki znałem. Nazywany był przez nas „Bucnikiem”. Las ten, otoczony z trzech stron głębokimi parowami, był trudno dostępny. Stare, majestatyczne drzewa, niektóre z nich powalone wicherem albo strzaskane od pioruna, były kryjówką dla lisów, a gęsty młodnik jodłowy dawał schronienie sarenkom. Olbrzymie kopce

czarnych mrówek, wykonane z igliwia, kojarzyły nam się z kopcami afrykańskich mrówek czy termitów, o których czytało się w powieści *W pustyni i w puszczy*. Do tych mrowisk wkładaliśmy butelkę denaturatu. Napełniona mrówkami była świetnym lekiem na wszelkiego rodzaju dolegliwości. Słoneczna polana porośnięta runem czarnej borówki i usłana głazami to miejsce, gdzie można było zobaczyć wygrzewające się w słońcu zaskrońce, żółte salamandry i szybko uciekające zwinki. W małym bajorku rechotały żaby, a stojąca woda pełna była kijanek i pijawek. W górze krążył majestatycznie jastrząb, wypatrując zdobyczy. Ciszę przerywało tylko gruchanie dziękiego gołębia, a na wiosnę głos kukułki. Z niewielkiej polany pod lasem wiatr przynosił zapach suszonego siana. Nic też dziwnego, że teren ten był dla nas odskocznią od kłopotów i trosk dnia codziennego, czuliśmy się tam bezpieczni. To, czego myśmy się tam naprawdę bali, to przeraźliwego głosu jaźwca (borsuka) słyszanego wieczorami.

Do kościoła szliśmy „Dziółem” (ul. Kolejowa). Było nam bliżej. Przy moście na potoku Mordarka była niemiecka poczta. Na ścianie budynku i pocztowej skrzynce rozciągał skrzydła orzeł, nazistowski symbol, który trzymał w swoich szponach swastykę. Poniżej widniał napis: „Deutschland Post Osten”. Ileż razy ten napis czytałem.

„Kamieniec” w 1942 r. dla Polaków był zamknięty, bowiem było tam getto, a mnie dręczyły jeszcze wspomnienia z wcześniejszej tragedii, jaka miała miejsce pod murem, na którym stał dom stolarza Pałki (budynek istnieje do dziś, jest on naprzeciw budynku Pomocy Społecznej, w którym w latach międzywojennych była garbarnia). Po likwidacji getta budynek garbarni został zajęty przez zbrojne oddziały SS. A wzdłuż uliczki były baraki dla koni.

Powróć znów do szkolnych lekcji. Moim wychowawcą był nadal pan Antoni Bieda. Oprócz języka polskiego obowiązkowo był język niemiecki. Jego nauka polegała na wkuwaniu słówek na pamięć. Uważam, że był to sposób nauczania dosyć skuteczny, dziś jeszcze potrafię złożyć kilka prostych zdań. O nauce geografii czy historii nie było mowy. Była natomiast lekcja śpiewu, uczył jej pan Mieczysław Mordarski. Rozpoczęła się ona narysowaniem na tablicy klucza do nut, zaśpiewaniem ►

piosenki, a potem był prawdziwy wykład historii. Nauczyciel opowiadał nam o Legionach Piłsudskiego, o wolnej, niepodległej Polsce i wielu innych, zakazanych w tym czasie sprawach. Nie baczył, jaka groziła mu za to kara. W okresie międzywojennym analfabetyzm, zwłaszcza na wsi, był duży. Nieliczni ukończyli szkołę podstawową, najczęściej kończyli na drugiej lub trzeciej klasie, co pozwalało nauczyć się zaledwie czytać i pisać.

Miałem sąsiada, nie umiał pisać ani czytać, wstydził się tego bardzo. Do kościoła nosił z sobą książeczkę do nabożeństwa i otwierał ją podczas modlitwy. Jednej niedzieli chłopcy podpatrzyli, że ma on obrazek położony dobrze, ale litery są odwrotnie. Był to także okres tajnego nauczania, w które zaangażowani byli nasi nauczyciele. W tych czasach wielu dorosłych uzupełniało swoje podstawowe wykształcenie albo kontynuowali oni przerwana naukę i zdawali maturę.

Poszukiwani przez Gestapo nauczyciele byli zmuszeni ukrywać się. Pan Józef Bednarz przez długi czas ukrywał się u Wronów, na górach w wykopanej piwnicy z wejściem wprost spod dachu do ziemi. U tej rodziny ukrywał się też jeden z trzech więźniów, którym udało się zbiec z niemieckiego obozu pracy w Limanowej – TOD. Baraki tego obozu znajdowały się na terenie przedwojennej targowicy (dziś ulica Targowa). W nieludzkich warunkach przetrzymano tam około 300 młodych ludzi przywiezionych z Kresów Wschodnich. W podobnych barakach, ale w warunkach o wiele gorszych, byli trzymani radzieccy jeńcy wojenni. Obóz ten był na terenach rafinerii nafty w Sowlinach. Mam żywo w pamięci tych wyniszczonych głodem i chorobami żołnierzy leżących przy ścianie baraku, otoczonych zasiekami drutu kolczastego.

Lekcje religii odbywały się normalnie. Uczył nas ks. Jan Rachwał. U niego zdałem po łacinie egzamin i zostałem ministrantem. W tym czasie było nas zaledwie dziesięciu, wśród nich mój dawny kolega, obecnie ks. prałat Tadeusz Sierosławski. Poza obowiązującym grafikiem pozostawałem dłużej, aby służyć do mszy ks. prałatowi Kazimierzowi Łazarskiemu. Chłopcy się go trochę bali, bo miał gruby głos i czasem lubił okrzyknąć. W naszym domu opowiadali jak w kościele upomniął na głos chłopca „*Nie zapomnij oddać tego łańcucha*”. Mnie chyba lubił. Upiekło mi się nawet



Przed Szkołą Powszechną w Sowlinach. W grupie młodzieży Stanisław Ceglarski (stoi pośrodku).

wtedy, kiedy podczas Gorzkich Żali trąciłem kadzielnicą o posadzkę i cały ogień wysypał się na dywan. Pozbierał go Jan Zoń, który był kościelnym. Jan Zoń był też u nas znanym dentystą. Szło się do niego, jak bolały zęby. Na jego ból miał jedno lekarstwo. Puszczal kropelkę „zajzajeru” (kwas solny) na zęba i po bólu. Wyrwał też chore zęby. Złośliwi mówili, że za pomocą kowalskich kleszczy, ale to nieprawda. Jesienią 1942 roku na naszym terenie panowała epidemia czerwonki. Przez jakiś czas kościół i szkoły były zamknięte. Jako ministrant chodziłem też po kolędzie z księdzem, z nami szli kościelny i organista. W tych czasach nasza parafia była bardzo rozległa. Śnieg, mróz, zmęczenie i głód dawał o sobie znać. Pamiętam takie wydarzenie. Podczas jednej z kolęd, około południa, przyszedł ksiądz do naszego domu. W kuchni pachniało gotowaną kapustą, omaszczoną soloną słoniną. Ksiądz podszedł do blachy kuchennej, podniósł pokrywę „żeleźnioka” i mówi: „*ale smacznie pachnie*”. Mama nałożyła wszystkim pełną miskę kapusty z grochem, pojedli i poszli dalej. Ostania moja kolęda z księdzem była w zimie 1944 r. Chodziliśmy po przysiółku Łąki położonym między Golcowem a Ostrą, na Starej Wsi. Zakończyliśmy ją późnym wieczorem w domu kolegi ministranta Antka Zonia. Pan Zoń ugościł nas wieczorą i odwiózł saniami do miasta. Po paru dniach Niemcy spalili jego dom i zabudowania.

Pomimo groźących zewsząd niebezpieczeństw, młodzi i dorośli potrafili się

zabawić. W okresie Bożego Narodzenia urządzano po domach jasełka i przedstawienia. Była święta rodzina, pasterze, żywe zwierzęta, aniołowie ubrani w kolorowe bibuły, diabeł, śmierć z kosą, która ścinała głowę okrutnemu Herodowi. Diabeł z radością mówił: „*za twe złości, za twe zbytki, chodź do piekła, boś ty brzydki*”. Drewnianą przenośną szopkę nosili dorośli. Ruchome lalki pokazywały wszystkie bożonarodzeniowe wydarzenia. Był też turoń, miał brodę ze skórki jeża, kłuł nią wszystkich. Wiele radości taka szopka przynosiła dzieciom. Pomimo godziny policyjnej chodziliśmy kolędować po domach. W nocy Niemcy nie zapuszczali się na wioski z obawy przed partyzantką. Był piękny zwyczaj kolędowania. Każda kolęda rozpoczynała się rzucaaniem owsem po szybach i składaniem życzeń słowami: „*na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok*”. Należało zaśpiewać kilka kolęd. Dopiero wtedy gospodarz wyszedł i wręczył parę groszy. Kończyło się: „*Wiwat, wiwat już idziemy, za kolędę dziękujemy, przez Narodzenie Jezusa będzie w niebie wasza dusza królowała*”. Nie wolno było pominąć najbiedniejszej chałupy. Jezus narodził się w gorszych warunkach, a przywitani go ubodzy pasterze. Kolędników często zapraszano do domu, wspólnie śpiewano i goszczono. W okresie zapustów po domach urządzano tak zwane muzyki. Ludzie starali się chwilowo nie myśleć o tym, co będzie jutro. Niedaleko od naszego domu była muzycznie uzdolniona rodzina. Tam często odbywały się „muzyki”. Na skrzypcach i harmonii grał ojciec i syn. Problem był



Obóz jeńców rosyjskich na Krzyżowej w Sowlinach - 1941 rok.

w tym, że ojciec był trochę głuchy i grał inne melodie niż syn, sprawiało nam to wielką radość. Muszę przyznać, że przy takich okazjach jak zabawy albo kolegowanie nie obeszło się bez nadużywania alkoholu. Bimber pędziło się niemal w każdym domu. Wódką i papierosami okupant płacił za przymusową pracę. Wiedział, co robi, rozpijał nasz naród. Pomimo surowych kar, odbywał się nielegalny handel słoniną, kiełbasą i innymi produktami rolnymi, których bardzo brakowało. Wysokie kontyngenty, takie jak zboże, ziemniaki, pasza dla zwierząt domowych, doprowadzały ludność do nędzy i głodu. Zabierano nawet ostatnią krowę, pozbawiając dzieci mleka. Dlatego znam smak chleba pieczonego z tymotki i innych specyfików. Szczególnie boleśnie utkwił w mojej pamięci rok 1942 i wydarzenia z nim związane. Był to rok stopniowej likwidacji limanowskich Żydów. W milczeniu słuchaliśmy pojedynczych albo seryjnych strzałów karabinowych. Wiedzieliśmy, co one znaczą. Pamiętam pewne tragiczne wydarzenie, które wstrząsnęło mną do głębi. Jednego majowego południa wracałem ze szkoły z kolegami. Tym razem szliśmy obok żydowskiego kirkutu. Przez zniszczoną bramę zobaczyliśmy straszny widok, mam go jeszcze dziś w pamięci. W lipcu teren getta został opuszczony. Domy świeciły pustkami, wionęło smutkiem i grozą. Stosy papierów, śmieci, pierza z rozprutej pościeli prznosił wiatr.

Od pierwszych miesięcy okupacji polska ludność cywilna została kierowana na przymusowe roboty do Niemiec.

Zaczęły się łapanki i ukrywanie się po lasach. Podam jeden taki przykład. Józef Hebda uczył się zawodu szewskiego u mojego ojca. Mieszkał w Mordarce nad torami kolejowymi. Była tam i jest nadal bardzo stara murowana kapliczka, którą się wtedy opiekował. Jesienią 1942 roku Józef pracował w ogrodzie w pobliżu kapliczki. W pewnej chwili zobaczył, że od nasypu torów kolejowych idzie żołnierz niemiecki. Podszedł on do kaplicy i stał tam dłuższą chwilę, potem poszedł dalej. Kiedy był w pobliżu, Józef, który miał przy sobie kilka dorodnych jabłek, podszedł do niego i mu je podarował. O całej sprawie zapomniał. Jednego dnia wybrał się do miasta. Kiedy znalazł się na ulicy Mordarskiej, Niemcy urządzili tam kocioł. Ulica została zamknięta z dwóch stron i wszyscy, co się tam znajdowali, zostali zapędzeni przed budynek niemieckiej żandarmerii. Był tam także Józef Hebda. Zauważył on, że jeden niemiecki żołnierz bacznie mu się przygląda. Po chwili podchodzi on do dowódcy obławy i z nim rozmawia. Następnie zbliża się do niego i wyprowadza go na zewnątrz. Wtedy poznał go. Był to ten sam żołnierz, któremu podarował jabłka. Rok 1944 należał do najtragiczniejszych. Nasilający się ruch oporu, liczne sabotaże, wykolejenie pociągów itp., nosiły straszny odwet władz niemieckich na ludności cywilnej. Pojawiały się na budynkach bordowe plakaty z zakładnikami. Niemiecki terror osiągnął apogeum. Był koniec czerwca 1944 roku, około północy rozległ się w naszym domu gwałtowny łomot. Drzwi

otworzyła im moja mama. Do sieni weszło dwóch żandarmów i zapytali gdzie mieszka Surma. Mama powiedziała, że Surma mieszka w Sowlinach, odeszli. Może za godzinę powrócili, tak wspomina to wydarzenie Antonina Wojtas, „*jak nas prowadzili, zatrzymali się koło domu Franciszka Mamaka, aby ich ukarać*”. Trudno mi jest o tym pisać. Rano uciekłem w górę do lasu i zazdrościłem ptaszkom tego, że się niczego nie muszą bać. Mama, mimo że swoim czynem nie uratowała Surmów, nigdy nie żałowała, że tak postąpiła.

Nie pamiętam dokładnie z jakiego powodu i kiedy przestaliśmy chodzić do szkoły w Sowlinach. Władysław Bieda we wspomnieniach zatytułowanych „*Historia jednego dnia*” tak o tym pisze: „*W maju 1944 roku, kiedy Niemcy uciekając przed armią radziecką, przywieźli aptekę ze Stanisławowa do Limanowej, transporty przychodziły koleją do stacji, a stąd samochodami do szkoły w Sowlinach i do położonego w pobliżu budynku po byłej garbarni (po wojnie mieściła się tu Spółdzielnia potocznie nazywana „Jajczarnią”)*. Mówiono wówczas, iż w szkole powstaje szpital. Stanisław Skoczeń na łamach „*Almanachu Ziemi Limanowskiej*” wspomina; *Ostatnia zima okupacyjna 1944 r. była śnieżna – w tym czasie Niemcy urządzili szpital polowy w naszej szkole*. Te pierwsze wspomnienia Władysława Biedy, by się zgadzały, bo już wczesną wiosną 1944 roku zostaliśmy przeniesieni do zastępczych budynków, takich jak świetlica pod stacją kolejową, plebania czy budynek należący do browaru. Moja klasa została umieszczona w budynku browaru. Warunki nauczania były raczej niewygodne. Budynek był mroczny, wilgotny i zimny. Brak było podstawowych warunków sanitarnych. W tym budynku zakończyłem swoją edukację siedmioklasowej szkoły powszechnej. Taki był w skrócie przebieg moich szkolnych, wojennych lat. Koniec szkoły i nauki, ale jeszcze nie koniec wojny.

W lipcu i sierpniu wschodni wiatr niósł głuche pomruki dział. To ruszył front Amii Radzieckiej i przekroczył obecne wschodnie granice Polski.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

WYBIERZ RACHUNEK DOPASOWANY DO TWOICH POTRZEB

Nowe rozwiązania
z myślą o Twojej wygodzie

**Pakiet
Standard**

**Pakiet
Optimum
-Aktywny**

Sprawdź co zrobić,
abyabrany pakiet
i kartę płatniczą
otrzymać za darmo!



zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl



GRUPA
psb

PROFI

IMPULS[®]

UL. PIŁSUDSKIEGO 14C 34-600 LIMANOWA tel. 18 33 74 127

www.impuls-psb.pl



KUPUJ TANIEJ
VAT 8%

szczegóły w sklepie



PLANUJESZ BUDOWĘ DOMU ?
TA OFERTA JEST WŁAŚNIE DLA CIEBIE !

KUPUJ TANIEJ MATERIAŁY BUDOWLANE
ZAOSZCZĘDŹ 15%
PODATKU VAT !!!

* 8% stawka VAT zgodnie z art. 41 ust.12-12c Ustawy o podatku od towarów i usług.

* Oferta dostępna w PROFILIMANOWA, ul. Piłsudskiego 14C, w Ujanowicach, Laskowej i Plsarzowej.